

Kazimiera Zajączkowska-Rudnicka

Wrocław, kwiecień 1990.

Jestem Wilnianką nie z urodzenia, bo urodziłam się we wsi Krasna w powiecie Kielce. Do Wilna moi rodzice przyjechali, kiedy byłam jeszcze zupełnie mała, tato pochodził z małego gospodarstwa, dziadek nie miał możliwości zatrzymać synów przy sobie - tato został krawcem. Ojciec szukając lepszego chleba wyjechał do Wilna i sprowadził po jakimś czasie mamę. Myśmy na razie zostali tam, był już brat na świecie (właśnie w tej Krasnej) i ojciec sprowadził rodzinę, jak miał już lepsze warunki. Tak że ja właściwie wyrosłam w Wilnie i jestem ogromnie przywiązana do tego miasta. Jest to miasto prześliczne! Te kościoły! Te lasy, te łąki, te dwie rzeki cudowne! Tego miasta nie można nie kochać. Mieszkaliśmy w tej dzielnicy, gdzie znajduje się ten tak bardzo znany kościół św. Anny, który to kościół Napoleon chciał przenieść do Paryża, kiedy będzie, zwycięski, wracał spod Moskwy. Mieszkałam niedaleko tego kościoła. Wilno dla mnie to ukochane miejsce, z którego mnie zabrano i którego już potem nigdy nie widziałam. (...) Rodzina składała się z rodziców, mnie, brata i była młodsza siostra, która urodziła się w 28 roku, już w Wilnie. Przed wojną mieliśmy warunki dość dobre, dlatego że ojciec pracował na państwowej posiadzie, był krawcem w komendzie policji miasta Wilna. To była dobra posada. (...)

Chodziłam do normalnej szkoły rejonowej. Rodzice starali się żebydzieci przenieść do śródmieścia, żebyśmy się obracali w lepszym towarzystwie. Kiedy skończyłam szkołę powszechną (a zdolna byłam i chciałam się uczyć), zdałam egzamin do gimnazjum, ale chyba nie za dobrze, bo nie zostałam przyjęta z braku miejsc. Z zaświadczeniem, że zdałam egzamin, zapisano mnie do znanego gimnazjum SS Nazaretanek w Wilnie (...), szkoła była bardzo dobra. Brat po szkole powszechnej

uczęszczał do gimnazjum ~~Stawka~~ Zygmunta Augusta. Warunki były dobre, w domu wszystko było, byliśmy ubrani, byliśmy najedzeni, kształciliśmy się, już w 38 roku ~~to~~ kupił radio lampowe, mieliśmy rower, łyżwy, chodziliśmy na ślizgawkę do bernardynki, gdzie był pięknie wylany lód. I wydawało się, że wszystko będzie ładnie, tymczasem we wrześniu 39 wybuchła wojna (Wydawało nam się wtedy, że to dobrze 3 września nie iść do szkoły!). Radość trwała krótko: poleciały bomby, najpierw przyszli do Wilna bolszewicy, a potem Litwini. Zaczęło się. Nie pamiętam widoku wkraczających Litwinów, dlatego że rodzice dbali o to, żebyśmy specjalnie nie chodzili po ulicach, bo to było niebezpieczne, tym więcej, że jeszcze ruscy się tam pętali, a myśmy już byli młodzieżą dorastającą, tak że rodzice bali się o nas. Ja byłam w czwartej gimnazjalnej, zdawałam małą maturę.

W "Nazarecie" wprowadzono język litewski, nie jako wykładowy, pamiętam, że na tej małej maturze miałam z j. litewskiego z pisemnego dwójkę, a z ustnego jedynkę. W ten sposób chcieliśmy ten język zbojkotować, bo Litwini byli bardzo przykryzy dla nas. W "Nazarecie" pojawiła się siostra dyrektorka, która mówiła po polsku, chciała ~~xxxx~~ dobrze, była dobrym człowiekiem, ale nas denerwowało to, że nasza dyrektorka, s. Laurencja, została odsunięta. Nauczycielki miałyśmy świateczki.

Okupacja litewska trwała niecały rok. Potem we wrześniu zlikwidowali "Nazaret" i poszliśmy do koedukacyjnego gimnazjum Mickiewicza do pierwszej licealnej. "Nazaret" nie brał udziału w strajku szkolnym, bojkocie, bo na siostry zawsze patrzyli inaczej bolszewicy, a Litwini nie byli nam przyjaciółmi. Więc siostry bały się, choć bojkot popierały. Były ostrożne. Ale przecież z tego, co wywalczyły bojkot, myśmy skorzystały, j. litewski był tylko przedmiotem. Potem był 41 rok, bardzo szybko do nas Niemcy przyszedli, mieliśmy Niemców i Litwinów, którzy jeszcze bardziej podnosili głowy. I właśnie w ławie szkolnej rozpoczęła się praca konspiracyjna. Bardzo chciałam się dostać do organizacji, ale mój brat, mimo że młodszy

ode mnie, zawsze mówił tak: wystarczy, że ja jeden tam należę. Na ma-
mnie się absolutnie nie zgadzał. Nie wiedziałam, co on robi, z kim
się spotyka; to może jeszcze nie było AK. Dopiero 43 rok przyniósł
coś konkretniejszego, o czym się dowiedziałam już na Kółymie, gdzie
się spotykałam z ludźmi, którzy byli wzięci jako prawdziwi akowcy.
Ale ja jednak chciałam bardzo udzielać się i znalazłam sobie sama
drogę, niezależnie od brata, on o tym nie wiedział. Do czego należał
nigdy nie wiedziałam. Pracował, żeby nie wyjechać do Niemiec, pracu-
je w Sztralb (Stralo?) to była organizacja pomocnicza, do tej pracy
kierował Arbeitsamt chłopców. Zrobili tam prawo jazdy i potem jeź-
dzili z jakimś transportem, mieli ciężarowe samochody, wozili jakieś
zboże, jakieś drzewo. Mogli przy okazji oddawać usługi chłopcom w
lesie. Brat miał taki przypadek: jechał daleko, koło Ejszyszek, miał
tam przekazać jakiś ustny rozkaz dowódcy oddziału. Kiedy się tam
zbliżał, straż patrzy - jedzie niemiecki samochód, w środku jakiś
chłopak w niemieckim mundurze bez dystynkcji, bez patek - strzelili.
Wtedy in pokazał białą chustkę, wyszedł, zaprowadzili go z zawiąza-
nymi oczami do lasu i tam się wyjaśniło, że to łącznik, na którego
czekano. Chłopcy z warty nie byli powiadomieni o tym, że taki ktoś
ma się zjawić w tym dniu. Wtedy brat powiedział do dowódcy, żeby to
było ostatni raz, bo on jeszcze chce pożyć. Opowiadał mi to jako
przygodę, później. Do jakiego oddziału należał i jaki miał pseudo-
nim, nie powiedział. "Im mniej wie się w domu, tym lepiej w razie
jakiejs tragedii. Czasem tylko przyniósł jakieś gazetki. Jednego
dnia podczas pracy w tym Stralo, w kancelarii (a kolega brata Rysiek
był tam tłumaczem, bo znał dobrze j. niemiecki, brat zaś był osobi-
stym kierowcą tamtejszego hauptmanna) - pochyleni nad biurkiem obaj
wyrabiali jakieś ważne dokumenty. W tym momencie hauptmann zjawił
się niespodziewanie w biurze, zastał ich przy tej robocie. Było to
już po Stalingradzie, wyzwał ich od smarkaczy po niemiecku i powie-
dział:

"Jeśli chcecie żyć, żeby to było ostatni raz!" Brat przyszedł do domu zmieniony nie do poznania, rodzicom nic nie powiedział. Ja byłem najstarsza, odwołał mnie na bok: Słuchaj, Kazia, stała się rzecz straszna, hauptmann nakrył nas przy takiej a takiej robocie, kazał jutro przyjść do pracy. Jeśli jutro nie wrócę, nie szukajcie. Powiem ci dwie rzeczy: należę do oddziałów UBK i mam pseudonim Zych. Tyle o bracie wiedziałam. Hauptman nie zrobił użytku z tej sprawy, to był Austriak, bardzo możliwe, że już chronił własną skórę, bo już było po Stalingradzie. (...)

Ja nie miałam większej funkcji tam, gdzie byłem. Przysięgę złożyłam, nie pamiętam ani słów tej przysięgi, ani adresu, bo zaprowadzona zostałam do tego domu wieczorem, kiedy już było ciemno. Im mniej człowiek wiedział, tym było lepiej, a czasy były już trudne, tym więcej, że mieliśmy przeciw sobie i Litwinów, i Niemców, i także nieuczciwych mieszkańców różnych, czysem i Polaków, tacy się też zdarzali. Tym bardziej że mój ojciec jednak był policjantem, szył mundury co prawda, ale w mundurze chodził. Utrzymał się szczęśliwie całą wojnę, nie miał wrogów, bo nie miał do czynienia z ludźmi. Ale to nie należało do rzeczy dobrych, że on był policjantem.

W tym okresie żyć było trudno, bo ojciec był przecież bez pracy. Szył, przychodzili ludzie, przerabiali jakieś stare rzeczy, może byłoby lepiej, gdyby za to brał więcej. Nieraz słyszałam, jak mama mówiła do taty: popatrz, jak w domu jest źle, nie mamy różnych rzeczy. A tato odpowiadał: "Nie mogę, oni są tak biedni jak my". Mama przyznawała mu rację. Zabierali jakieś rzeczy z domu i szli na Litwę, na tzw. wymianę, bo pieniądź już nic nie znaczył. Brat dostawał jakieś grosiki. Szli na tę wymianę, mnie czasem brali. Potem xx wracaliśmy 60 km, niosąc jakąś słoninę, jakąś mąkę. Przyjmowano nas na Litwie bardzo dobrze, bo tam było dużo Polaków, w tych zaściankach szczególnie, gdzie były polskie nazwiska. Kupowali od nas te rzeczy za "produkt", dokładali coś, kawałek słoniny, maki, kawałek "kumpiaka", jak to oni nazywali, a na dodatek ogromny chleb. Pamię-

tam, szłam kiedyś z rodzicami, miałam z przodu worek przewieszony przez ramię, a z tyłu miałam chleb, duży i twardy (a było lato), że wreszcie zmęczona rzuciłam ten chleb, ~~konęłam~~ i zaczęłam płakać. Moja mama wiedziała, że jestem zmęczona, rodzice też byli obciążeni, poczekała, aż się uspokoję, popatrzyła i mówi: "Moje dziecko, nie kop chleba, może ci go kiedyś w życiu zabraknąć". Potem nieraz w życiu wspominałam te słowa.

Kiedy już front się do nas zbliżał, zaczęło się w mieście robić gorąco, wszyscy czegoś oczekiwali. Wiadomo było, że Niemcy są już przegrani, ale łatwo to wszystko nie pójdzie. Wtedy właśnie chłopcy zaczęli znikać w lesie, a mój brat był ciągle w tym Stralim. Ja pracowałam w lazarecie dla lekko rannych (też z Arbeitsamdtu), który mieścił się w gmachu "Nazaretu". Pewnego razu brat mówi, że czeka na łącznika, żegna się, z oczu mu bije radość, że wreszcie idzie do lasu. Wracam z pracy, a on w domu. "Co się stało?" - "Przyszedł łącznik i przyniósł rozkaz, że jeszcze mam się trzy dni zatrzymać w mieście". Po trzech dniach znów przyszedł łącznik. Tadeusz żegna się z nami (...) ma taką smutną twarz! Myślę, Boże, czy on nie dojdzie do tego lasu, czy coś złego się stanie? Wyglądał, jakby szedł na śmierć, a przecież przed trzema dniami był taki radosny! Może i rodzice zwrócili na to uwagę, ale nie chcieli ze mną o tym rozmawiać. (...) Za dwa dni przyszedł łącznik, przyniósł nam list od brata i zdjęcie. Pomyślałam, po co się martwię, przecież doszedł szczęśliwie (...)

Niedługo potem - już wtedy jako łączniczka nigdzie listów nie nosiłam, ale łączność była - powiedziano nam, że szykuje się akcja pod krypt. Ostra Brama. Ponieważ walka miała być w mieście, poszliśmy na Francuski Młyn w stronę Nowej Wilejki, na trasie na Mińsk. (...) Tam byliśmy z rodzicami. Było tam trochę strzelaniny, potem się dowiedziałam, że był tam i Szczerbiec z resztkami swojego oddziału rozproszonego w okolicy Francuskiego Młyna. Tam nas znalazł

bliski kolega brata, Tadeusz Klincewicz, przyniósł jego plecak wojskowy, z którym poszedł do lasu. Był taki plecak z 39 roku w domu. Rodzice zdziwieni pytają: "Skąd masz ten plecak, dlaczego?" - "Bo tabory przyszły wcześniej, a Tadzik przyjdzie".

Wróciliśmy do miasta (...), wrócili wszyscy chłopcy z dzielnicy. Nie wrócił tylko Fredk Kubacki, młodszy od mojego brata, który poszedł w ostatnim momencie i został schwytyany przez Rosjan. Potem się dowiedziałam, że był w Kałudze, jakieś wieści jednak do rodziny przysłał. Wrócił Tadzik Klincewicz, wszyscy chłopcy z dzielnicy byli w lesie w akcji Ostra Brama. Nie wrócił tylko mój brat Tadeusz. Rodzice biegali po całym mieście, wszędzie szukali, wszystkich pytali - nigdzie śladu nie było. Po latach siostra mówiła, że sąsiedzi podobno wiedzieli (ale rodzice bardzo rozpaczali, więc im nie powiedzieli), że brata mojego rozerwał pocisk artyleryjski pod Soroktatarami. To była nie sprawdzona wiadomość (...) nigdy nie dowiedzieliśmy się całej prawdy.

Po tym tragicznym czasie musiałam podjąć pracę, o która nie było łatwo. Oficjalnie AK było niby rozwiązane, ale przyszła do mnie łączniczka. W umówionym miejscu w mieście spotkałam się z człowiekiem, którego wcześniej nie znałam. Powiedział: "Żeby było łatwiej, załatwię ci pracę na poczcie i dalej będziesz łączniczka". Pracowałam w urzędzie pocztowym na Ostrobramskiej. Przychodziły do mnie łączniczki dwa-trzy razy w tygodniu, przynosiły 7, 10 listów w zaklejonych kopertach. Roznosiłam je. Od lipca (jeśli się nie mylę) do grudnia tam pracowałam, mieszkając w naszym smutnym żałobnym domu. Tymczasem w mieście zaczęły się atreszty. U nas był bardzo dobry dozorca, Antoni, z którym byliśmy umówieni, że zanim komuś bramę otworzy, przybiegnie i powie. Nie wiem, jak to się stało (może przeskokczyli płot, nie był wysoki), ale dokładnie 23 grudnia 1944 roku o trzeciej w nocy zapukali do nas. Szukali Kazimiery. Wiedzieli już, że pracuję na poczcie, kazali mi się ubrać, a do ojca: "A wy, Szymon Zajączkowski, toż odziewajetesia, pajdietie z doczeru". Mama prze-

rażona, ojca też zabrali - na Łukiszki, jak się potem dowiedziałam. A mnie od razu na Słowackiego do piwnicy. W celi było już chyba 15 młodych jak ja dziewcząt. Każda niewinna, nikt nic nie wiedział, żadna nic nie robiła. Aresztowanie moje prawdopodobnie było wynikiem jakiejś wsypy, nigdy nie dowiedziałam się, kto nie wytrzymał na śledztwie. Nawet swojego dowódcę, Adama Kielarskiego, spotkałam po latach na Kołymie (to był młody człowiek, ale go nie poznałam, tak strasznie był zniszczony, on mnie poznał) spytałam - on też nie wiedział. Na śledztwie bardzo bili ludzi. W celi ze mna siedziała żona Adama Kielarskiego, nie była w organizacji, siedziała jako żona swojego męża. Była w wysokiej ciąży i tak ją bili, że poroniła w straszny sposób. Zabrali ją do szpitala, dostała 5 lat wyroku. Ja właściwie nie byłam specjalnie bita, bo nic przecież nie wiedziałam, nie znałam zawartości kopert. Dostałam trochę w kość, może rzeczy które nosiłam nie były takie ważne - w każdym razie nie męczyli mnie o to. Warunki w tym podwale miałyśmy straszne. Było to nieduże pomieszczenie, może 4,5 metra na 2,5 - tam nas siedziało 20 dziewcząt. Bez kąpieli, bez wody. Paczki nam rodziny przynosiły. Wszv były okropne, niesamowite. Kiedy wzywane na śledztwa dziewczyny wracały pobite, robiłyśmy trochę miejsca, żeby taka mogła poleżeć. Najgorzej było z wodą. Pić dawali bardzo mało, a przecież woda nam była też potrzebna jako kobietom, młodym dziewczynom. Wpadłyśmy na pomysł, żeby te straszne wszy zanosić sledowatielom na górę. Wzywali nas w nocy na trzy-cztery godziny. Oni siedzieli za biurkiem, my na przeciw. Trzeba siedzieć nieruchomo, on pisze, a ja mam dobry wzrok. Tu wyłazi, tam wyłazi wesz - jak wesz wyjdzie z rękawa czy ze spódniczki, zaczęłyśmy je zrzucać na podłogę. No i słyszymy, że pojedziemy do łaźni, bo jesteśmy okropne brudaski - wszy od nas ich oblażyły, do domu je przynieśli, już nie wytrzymują. Udało się, akcja była wspaniała. Przyjechało kilka samochodów (bodajże czornvjie worony), z naszej celi zabrali 20 sztuk, stłoczyli oczywiście, bo u nich zawsze było mało miejsca, przywieźli do jakiegoś "podwału" (piwnicy

str. B.

gdzie były dwa prysznice. Pomieszczenie maleńkie. Wśród nas, aresztowanych było kilka starszych osób, w wieku mojej mamy lub starszych. Bardzo były dobre dla nas. I kiedy nas przywieźli do tej piwnicy, siadło sobie trzech "bojców" na takiej ławce parkowej w odległości metra od pryszniców. "Ano, rozdiewaj'sia i kupat' sie". My do naszych pań, że przecież nie będziemy się przed nimi rozbierać, jesteśmy młode. Więc one do żołnierzy, żeby się odwrócili - po rosyjsku. A ci siedzą! Widać te chamskie gęby, uśmiechają się i ani rusz. A czasu szkoda, kąpiel to wielka okazja dla nas. Nasze panie puściły prysznice z gorącą wodą i zrobiły parę, same się rozebrały, stanęły blisko żołnierzy, przed nimi i mówią: "Dziewczęta, teraz się rozbierajcie". A do ruskich: "A wy macie piękny widok, możecie oglądać!" Myśmy się rozebrały. Po trzech miesiącach woda, włosy się wymyło, człowiek się wykąpał. Mydło miałyśmy z domu, tylko przedtem nie miałyśmy możliwości go użyć. Bo z domu otrzymywało się wszystko. Mama te zawszone rzeczy zabierała ci tydzień do domu, bieliznę, bluzkę, spódnice, pończochy, skarpety. To była zima. Potem mi opowiadali, że jak mama to przynosiła, to to wszystko chodziło od wszy. Mroziła to na mrozie (a Wilno ma mrozy!), wsadzała dół wrzółku w specjalnym garnku, gotowała, potem to wszystko prasowała i mi przynosiła. We wtorki było przyjmowanie paczek. Jak włożyłam te czyste rzeczy, a wszy lubią czyste, to Jezu, co się działo! Jeszcze więcej wszy było na mnie.

Trwało tak do czasu sądu. Nie pamiętam, kiedy ten sąd się odbył w każdym razie zimą. A wyglądało to tak, że pewnego dnia wywołano po nazwisku całą grupę, 10 czy 12 osób (nie wszystkie te, które ze mną siedziały). Nie pamiętam nazwisk, bo to przecież czas bardzo dawny. Siedziało trzech mundurowych za stołem. Przeczytano nam wyrok. Mieliśmy obrońcę. Nam nie pozwolono nic mówić, usadzono nas według jakiegoś porządku, nie tam, gdzie kto chciał. Tam mieliśmy siedzieć. Obrońca z urzędu powiedział, żebyśmy dobrze zrozumiały,

jak wielką krzywdę wyrządziłyśmy radzieckiemu żołnierzowi, który przecież bił Hitlera i faszystowskich złoczyńców pognął aż do Berlina i na pewno będzie zwycięski (bo końca wojny jeszcze nie było). Żebyśmy to dobrze zrozumiały, on zwraca się do sądu, żeby nam pozwolił pracą odkupić swoją winę i t a m żebyśmy zrozumiały, jak ogromną krzywdę robiłyśmy wspianiałemu Związkowi Radzieckiemu. I sąd wysłuchał gorących prośb. Nie pamiętam, ile wyroków było po lat 10, w każdym razie ja te 10 lat dostałam, bezpośredni mój dowódca dostał 10 lat i jeszcze parę osób. Przeczytano nam paragrafy, ja miałam 58 11 i 2, co oznacza organizacja i zbrojne powstanie przeciwko Zw. Radzieckiemu. 58 to polityczni, słynny paragraf. Dziesięć lat i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Akurat skończyłam 18 lat, łaskawie wsunięto mi paszport sowiecki, więc teraz można było mnie sadzić i dać jeszcze pozbawienie praw obywatelskich.

Pozwolono nam na ostatnie słowo. Nie pamiętam, o co ludzie ~~mi~~ prosili, wiem, że dowódca mój, Kilariski, ponieważ żonę miał chrapo tym "wypadku" w więzieniu, zostawili dwie dziewczynki w domu, dzieścio i dwunastoletnią, którymi opiekowała się stara mamusia - prosił o łagodniejszy wyrok, żeby mógł jeszcze powrócić do dzieci. A ja nie pamiętam, co gadałam, postawiłam im się w jakiś sposób. W każdym ^{razie} ~~rodzaju~~ on (sędzia?) mi powiedział: "Druguju piesiećku spajosz, kagda presiedisz 10 let". Język rosyjski znałam, bo przez dwa lata w szkole musieliśmy się go uczyć. Nie wiem, może to co nosiłam w kopertach bało takie ważne. Dostałam 10 lat. Nie zmartwiłam się, bo przecież ~~był~~ koniec wojny będzie, to my wyjdziemy! Któż to będzie siedział 10 lat! Przecież wiemy, co się dzieje na froncie, bo dostajemy grypsy z domu!

Wróciłyśmy do celi po ogłoszeniu wyroku, 10 lat to była normalna dawka na te czasy. Nie pamiętam, jak długo siedziałyśmy tam jeszcze, potem nas przewieźli na Łukiszki, do jekatierinskiego więzienia, które Katarzyna II jeszcze w Wilnie zbudowała, gdy Wilno było rosyjskie. Tam odetchnęłam. Przyszłam do wielkiej ślicznej celi.

wprawdzie zimnej, ale dużo było miejsca i więcej było powietrza. Tam też długo nie zabawiłam. Zostałam stamtąd przewieziona na wileńską przesyłkę na Rossie. Była tam szwalnia, utrzymałam się tam jakiś czas. I tam mnie zastał dzień 9 maja - koniec wojny. Dzień był przepiękny, słoneczny, wszystkie dzwony w kościołach (a ma to nasze Wilno świątyń trzydzieści dwie) dzwoniły. I my czekałyśmy, że nam bramy otworzą, że przecież nie będziemy siedzieć tutaj, w naszym mieście, jest koniec wojny! Nasza nadzieja się nie ziściła.

Rodziny nasze przychodziły, do mnie już teraz tylko mama, bo tata był aresztowany i wywieziony jako "niebłagonadziejny", bez wyroku. (...) Został z miasta wywieziony - gdzie? Mama nie wiedziała.

Na przesyłce wileńskiej była szwalnia, chociaż nigdy nie szyłam mogłam się wyuczyć, bo praca była taśmowa. Byłam tam z półtora roku, do połowy 47 roku. Mama przynosiła te paczki, żeby mi je móc przynosić, poszła sprzedawać na rynek jarzyny, handlowała. Jedzenie, które dawali było okropne, więc przynosiła coś lepszego, bieliznę, ubranie. Od czasu do czasu mogła dostać widzenie. Listu od tatusia nie było, siostra też zaczęła pracować u jednej Litwinki w sklepie. Dziwiłam się, że paczki były takie dobre. Mama mi powiedziała, że gospodyni siostry, wprawdzie zagorzała Litwinka, żałuje mnie, że siedzę w więzieniu, bo ma kogoś w rodzinie, kto został przez bolszewików aresztowany. I ta zakamieniała Litwinka mówiła do siostry: "Irena, ty sobie u mnie możesz kupić te rzeczy" - wędzonkę, masło, jakieś jajka, wszystko bardzo smaczne. Czas mojego siedzenia tam oczywiście zaliczał się do kary. Polacy już się ewakuowali do Polski. Mama przychodzi do mnie i mówi, że nie pojedzie. "Ty tutaj zostajesz, przecież nikogo z rodziny tu nie ma". A ja nato: "Mamusiu, proszę zabierać Irenę i wyjeżdżać. Jak będziecie w Polsce, może mnie kiedyś w jakiś sposób wykołaczecie. Bo wiedzieć, że stąd nie wyjde, ten wyrok jednak mam. A poza tym widzę, że etapy odchodzą z przesyłki i ja też na pewno wyjadę!" I mama dała się namówić. Wyjechała z Wilna ostat-

nim etapem, repatriacja była już zakończona, kiedy urząd zajmujący się repatriacją w pół roku po jej zakończeniu, jeszcze zabierał niedobitki. Mama miała tam znajomą, która ich zabrała - siostrę i mamę - i one z ciężkim sercem wyjechały. Po wyjeździe mamy w niedługim czasie był etap. Już długo tu siedziałyśmy, wywieźli nas etapem na przesyłkę pieczorską. Pieczora, daleka północ. Trafiłam na tę przesyłkę z taką jedną Stasią z Wilna, nie pamiętam nazwiska, z miasta nie jechało dużo ludzi. Ale po drodze, zanim dojechaliśmy do Pieczory, podczepiali jeszcze różne wagony (jechałyśmy ocz. w bydlęcych) i w rezultacie przyjechało nas tam bardzo dużo. Już w etapie się dowiedziałam, że jedziemy w jakieś bardzo paskudne miejsce, na jakąś 501-szą strojkę. Co to była 501 strojka, nigdy się nie dowiedziałam. Jakieś bardzo niedobre miejsce. Pewnego razu siedzimy w tej przesyłce (a tam się jest krótko), przybiegają do nas dwie dziewczyny, Polki i pytają o nas po nazwisku. Mówimy, że to my. Odwołały nas na bok i mówią: "Słuchajcie, wy jedziecie w straszne miejsce. Dzisiaj, jak już będzie szaro, to my po was przyjdziemy, zabierzemy was i po prostu zapchamy was pod narę w roboczym baraku i tam będziecie siedzieć. Późno wieczorem przyniesiemy wam trochę jedzenia i potem wyprowadzimy was do ubikacji w nocy, jak już wszyscy będą spali. Bo tam, gdzie jedziecie, to przepadniecie, tam jest strasznie. Tam nie ma żadnych baraków, niczego, goły śnieg, straszna praca, będziecie musiały dopiero baraki budować. W każdym razie my was ratujemy, bo więcej Polek w tym etapie nie ma." Siedziałyśmy pod tymi narami trzy doby. Cały barak był różnych ludzi, nie tylko Polek! Nie dawałyśmy znaku życia, po trzech dniach one po nas przyszły. "Wasz etap odszedł, naczelnik szukał was trzy doby. Dokooptowałyśmy mu dwie osoby, krzywdy nie będą mieć, starzy, i tak trafia tu z powrotem do szpitala. Trzymać was tu nie możemy, zawieziemy was z chorymi do Koczmiesu, tam jest szpital lagrowy, a tam już - jak się sobie dacie rady!" (Naczelnikowi dwie osoby zginęły, ale on nie wie kto. Na przesyłce 15 tys. osób!). Przyjechałyśmy do tego "Peczorka-

gru" do szpitala, ja po tych paczkach wileńskich dobrze sobie wyglądam, Stasia szczuplutka, nieduża, starsza dużo ode mnie, leżymy w tych łózkach. Boże kochany! Ja przecież jestem kompletnie zdrowa! Myślę sobie, rzucają mnie nie wiadomo z kim (a z tamtym etapem już się człowiek zaprzyjaźnił), nie wiadomo dokąd, skończony mój los! Trzeba, myślę, jakoś się ratować. Przychodzi więźniarka-pielęgniarka, przynosi termometr. Myślę, ponacieram sobie pod tą kołdrą, żeby mieć przynajmniej 37,2. Po jakimś tygodniu w nocy bardzo źle się poczułam, nogi mnie bolą i wszystkie kości, nie mogę leżeć, głowa mi pęka. Rano przychodzi pielęgniarka, daje mi termometr, a ja już nawet siły nie mam, żeby z nim coś zrobić. Ona do mnie po ukraińsku: "Krysiu, co wyście taka blada?" - "Coś źle się czuję" - "Masz termometr, ~~zmiierz~~ ^{zmiierz} sobie ~~temperaturę~~ zmiierz sobie temperaturę". Po dziesięciu minutach przychodzi: "Krysiu, co s wami? Sorok hradus^{tu}!" Miałam 40 stopni. Myślę, chwała Bogu, **jestem uratowana!** Nigdzie mnie na etap nie powiozą, zostanę w tym szpitalu! Przychodzi lekarz, Polak, więzień, Czesław Kozelunas (drugi lekarz, Michał ⁺iotrowicz, Rosjanin, wolny człowiek), Bohdana mówi, że taka temperatura. ⁺Ja rozpalona, każą mi odsłonić plecy - " Czy pani chorowała na zapalenie płuc?" - "Nie" - "No to pani zachorowała". Myślę, jak to cudownie, jestem chora, ⁺jestem uratowana! (...) Po obchodzie mnie wołają, robia punkcję. "Prawdzie ropy tam nie było, ale wody waciągnęli trochę. A lekarz mówi (Czesław) "Nie chcę pani straszyć, ale do leczenia mamy tylko witaminę C. Nawet cukru nie mieli, ja już też nie miałam, zjadłam wszystko. ⁺Należałoby pani dać glukozę, ale nie mamy absolutnie. Witamina C i musi pani leżeć. Będziemy badać, czy jakaś ropa się nie robi!" Temperatura ogromna, bardzo źle się czuję, sił nie mam. Mówię do Stasi: "Zeby choć troszeczkę cukru! Zdaje mi się, że gdybym wypijała kapiatok z cukrem, to bym miała więcej sił." - " Ale ja też nie mam". Tymczasem po południu przyjechały nowe chore, Łotyszki, prosto z Tallina. Patrzą, mają cukier. (...) Stasia poszła, poprosiła, że dla chorej koleżanki i pewna Tania dała trzy duże stołowe łyżki cukru z witami-

nami, był niesmaczny. Wypiłam parę razy mocnej, słodkiej, gorącej herbaty i poczułam się lepiej, bo przy takiej temperaturze serce było bardzo osłabione, po tej nawet niewielkiej ilości cukru zdawało mi się, że mam więcej siły. Nie pokławiła się ta ropa, nie było trzeba wody więcej wyciągać. Czułam się fatalnie, bo miałam ból w całym boku i plecach, ale jakoś wyzdrowiałam, komplikacji żadnych nie było.

Teraz już jestem zdrowa, nie ma podstaw, abym leżała w szpitalu, mogą mnie wysłać na rąbanie tajgi. To że człowiek był po ciężkiej chorobie, nie miało znaczenia. Ale przez znajomości (bo były tam Polki i ten Polak lekarz) załatwili mi pracę przy męskiej brygadzie roboczej, wycinali tajgę. A ja z taką jedną Rosjanką musiałyśmy w tych ogromnych śniegach ścięte drzewa obrabować z gałęzi, piłować ręcznymi piłami i kłoce układać w sągi (sztable). Praca była straszna, raz że nie byłam w ogóle do takiej pracy przyzwyczajona, dwa po chorobie. I miałam szpitalną ilość tego chlebka - nazywało się to 500g ale to był kit! I szpitalna bakanda. Mężczyźni pracowali bardzo ciężko, spieszyli się, bo tam na północy można już było dostać zacieroty. A my byłyśmy siłą pomocniczą, nie należałyśmy do tej brygady. (...) Może mężczyznom nie chodziło o zacieroty (chyba to później wprowadzili) lecz o lepszy pajok. W każdym razie my tam byłyśmy bardzo biedne. Ja w tym szpitalu okropnie głodowałam niesamowicie! Moje koleżanki dowiedziały się, że głoduję i Kryśka, Polka, mówi: "Powiem dniewalnej w naszym roboczym baraku, gdzie mieszkają pielęgniarki, żeby tobie oddawała naszą zupę, bo my sobie co innego gotujemy. Po pracy przychodź do baraku roboczego". Przekładam chodzę, zupa dla mnie stoi na podłodze pod szafką, dniewalna wciąga tę miseczkę, przy mnie bierze łyżkę i wyjada jakieś skrawki mięsa (bo siostrom dawano z tego kotła trochę lepsze) - a mnie daje tę zimną polewkę do zjedzenia! No ale trudno - i tę polewkę wypijałam

bo byłam głodna.

t. II

Jest taki zwyczaj w tych obozach, że wszędzie, gdzie są więźniowie, ma być "krużok samodiełatelnosti" - dbano o naszą kulturę! Ja miałam dobry głos, znałam piosenki, które śpiewały Ukrainki (były piękne), uczyłam się tych piosenek. Potem zapisałam się do takiego kółeczka artystycznego do chóru. Z tym kółkiem wyjeżdżałyśmy co jakiś czas do obozów męskich czy żeńskich - z koncertem. Wtedy nas zwalniano z roboty, dawano mi zawsze jakiś ukraiński strój (zawsze się znalazł, nie wiem, skąd mieli te stroje). Jechało się na trzy dni. I tam już, choćby więźniów mieli obdrzeć ze skóry, zawsze się najadłam chleba obozowego, wyspałam, wypoczęłam. Dla "artystów" chleb musiał być, ode mnie to nie zależało, że ci ludzie byli biedni. Potem znowu przyjeżdżałam na harówkę do tego lasu. To był rok 49. Ten szpital jest w okolicach Koczmesu, nie w samym Koczmesie - mieście. Tam będąc widziałam straszne rzeczy. Na przykład dwie dziewczyny: jedna Komiaczka a druga Rosjanka, którym ktoś powiedział, że ^kja będą bardzo chore, to je zwolnią z więzienia. Więc (jeszcze przed moim przyjazdem) jedzą sól i piją wodę. Dostają silnej biegunki, dystrofii, silnej anemii, wymiotów. Dochodzi do tego, że nawet wody wypić nie mogą. Widzę, jak gasną z dnia na dzień i umierają. Zupełnie młode. Pamięć o tym mi się przyda, jak będę na Kozymie. Teraz jest 49 rok i plotka, że może Polaków będą puszczają do domu. (...) Pewnego razu wywołują nas na etap, wszystkie Polki zabierają. Jedziemy z tą myślą, że do domu. Ale już po drodze wiemy, że gdzieś tam do domu! Przywożą nas do Mordowskiej SSR, trafiam na punkt 6, może jeden z najgorszych. Może nie z powodu warunków, ale naczelnica - diabeł wcielony! Jest to osoba, która w 37 roku straciła męża, sama odsiedziała wyrok, dzieci jej zabrano do "dzietdomu", z którego wyszły jako złodzieje i bandyci. Rosjanka. My dla niej jesteśmy element, który trzeba zniszczyć. Naczelnicę tę nazywamy "Szłapa". (...) Obóz już koncentracyjny, jeśli tak można powiedzieć o obozie

piękny. Obóz ogromny, baraki czyste, kwiaty, dróżka, nary białe, dostajemy pościel (też białą), ale reżim niesamowity! Przez całą tę obozową ulicę od bramy aż po zakłady duże - szwalnie - idzie chodnik szerokości chyba półtora metra, drewniany, z deseczek. My nie mamy prawa tym chodnikiem chodzić. Musimy iść ulicą, porządną, ubita szeroką na 3-4 metry, ale to, że nie mamy prawa chodzić po chodniku jest dla nas uwłaczające. Prawo do chodnika miała naczelnica i nadzór nasz. Bojcy, jej córeczka, która była jeszcze wspanialsza jak mamusia, okropna. Przyjeżdżam tam z północy z trzecią grupą inwalidzką - tyle tam mogli zrobić dla mnie - mam prawo do mniejszej nieco normy (75 procent, czy coś takiego, nie pamiętam). Dalej głoduje ciężko, pracuję, po jakimś czasie ona mi tę normę zabiera, a pracujemy po 12-14 godzin bez przerwy. Praca jest taśmowa, ona wchodzi na salę np. na nocnej zmianie: "Nie słyszysz maszyn!!!" - a przecież to wszystko dudni, maszyny nożne, ciężka praca. W tym czasie przyjeżdżają nowe więźniarki prosto z naszej polskiej Ukrainy, spod Stanisławowa, spod Łwowa. Są w lepszej sytuacji, bo prosto z domu, poza tym dostają paczki wspaniałe! Ukrainki. My z roboty przychodzimy głodne, a po baraku rozchodzi się wspaniały zapach słoniny, kartofli (bo jest kuchnia, można sobie gotować), co tylko dusza zapagnie. Człowiek myśli, że od tego umrze. U nich chleb pleśnieje na zielono. Ale żeby którejś przyszło do głowy, żeby zaproponować - nie. Ale miałam ambicję, ja nie mogłam do takiej Wasylissy pójść i powiedzieć: "Daj pajkę, u ciebie chleb się marnuje". Rzeczywiście miała w tej szafce nocnej (bo miałyśmy takie "tumbeczki") chleb, który pleśniał na zielono.

Jak naczelnica zabrała mi trzecią grupę, normy nie mogę wykonać. Zaczynam bardzo chorować na hemoroidy, okropnie. Po 12 godzin siedzę na tych strasznych hemoroidach, nie wytrzymuję. Przyjdę do baraku, żeby spać - a nawet palce u nóg mnie kręcą, strasznie mnie nogi bolą, jestem ciężko chora, nie wykonuję normy. Idę do lekarza

obozowego, człowieka wolnego. Każe mi się rozebrać i pokazać te hemoroidy. "Gospodi, Gospodi, was nužno sdjat s maszynu, no ja nie imiejju prawa?" (Boże, Boże, ja muszę was zdjąć z maszyny, a nie mam prawa). Dał mi jakiejś wazeliny, dalej siedzę, tragedia, nie wykonuję normy. Póki miałam mniejszą normę, jakoś sobie dawałam radę. Dalej jestem strasznie głodna, strasznie. Nie wykonuję normy, a to taśmowa robota: jeśli ja nie wykonuję swojej części, to następna za mną też nie, jest zastój i rzeczywiście efekt jest taki, że cały "konwiej", tzn. grupa 50 osób nie wykonuje normy. Naczelnica jest wściekła. Zbiera cztery "konwieiry", 200 ludzi, mnie stawia i mówi, że to jest "ten człowiek, który nie zważając na to, że żołnierz radziecki krew przelewał i młode życie oddawał (bo szyliśmy bieliznę wojskową) nie wykonuje normy i stara się, żeby inni też nie wykonywali". Jest więc sąd nade mną, ludzie się nie odzywają, ona wygaduje na mnie - i nareszcie pozwala mi powiedzieć parę słów. A ja mówię, że jestem bardzo chora i jestem bardzo głodna. Nie otrzymuję paczek siedzę już 4 lata, piąty, jestem po chorobie i w tej chwili znów chora i jeśli ja będę wyleczona i będę nakarmiona - będę pracowała i wykonam normę. Boże, myślałam, że piorun strzeli w moją naczelnice. Nigdy jej w życiu żadna więźniarka w ten sposób nie odpowiedziała. Więc od razu z tej sali do izolatora. Izolator był nieduży, to było lato, ciepło chwiała Bogu. (60cm na półtora metra miał ten izolator), deski czyste). Przyszłam z nocnej zmiany na ten sąd, wyspałam się na tych deskach, potem poszłam do pracy i jak zwykle robiłam 70 procent - to teraz 40. Świadomie. I znowu poszłam do izolatora. Ona widzi, że nie ma rady. Siedzę przy maszynie, przychodzi oficer polityczny, siada przy mnie. Wysoki, przystojny, blondyn, niebieskie oczy, mam wrażenie, że nie Rosjanin (nie te rvsy), bardzo czysto mówi po rosyjsku, ja też. Pyta mnie: "Zajaczkowska, no czemu wy mnie chotitie robotat". A ja mu mówię po rosyjsku, czysto, z akcentem, że to nie to, że nie chcę pracować. Jestem ciężko ~~XXXX~~

chora. (...) i mówię, na co. "A do lekarza chodziliście?" - "Tak" - "No i co?" - "Lekarz powiedział, że mnie trzeba zdjąć z maszyny, ale on nie ma prawa." - "Wy nie wyrotie?" - "Niet" - "No, pójde do lekarza i sprawdzę. Jeśli kłamiecie, miejcie do siebie pretensje". Mówię, że nie wiem, co lekarka powie, to jest wolny człowiek. Ale bardzo proszę, pójdźcie i dowiedzcie się. Rozmowa po rosyjsku. Na drugi dzień ustawiają, jak zwykle cały obóz przed wyjściem do pracy brygadami. (...) Stoję ze swoją brygadą i słyszę, że jestem zdjeta z maszyny na dwa tygodnie, mam przyznany kilogram chleba, mam dwa tygodnie odpoczywać i iść do lekarza leczyć się. Naczelnica stoi, myślałam, że w nią piorun strzelił. Zrobiła się blada, czerwona, zielona, różna ona była. Przecież wobec czterech "konwiejów" ludzi wyszła na durnia. Ale trudno. Poszłam na nary, wyspałam się, dostałam kilo chleba, już było lepiej. Po dwóch tygodniach znowu na wprowadzeniu do pracy wyczytali, że ja idę do brygady inwalidzkiej. Jak tam praca wyglądała: jak się szyło bieliznę dla wojska, to czasem jakaś plamka była, uprało się ją mydłem, wysuszyło żelazkiem, była to lekka praca. Nie pracowałam tam długo, może z miesiąc. Potem był daleki etap i już Kołyma. Zawdzięczam ten etap swojej naczelnicy.

Ale jeszcze o szóstym. Kiedy byłam taka głodna, obudziłam się z głodu w nocy i myślę, pójdę, ukradnę ten chleb Ukraince, wezmę, przecież ten chleb się marnuje! Ale światło się pali, myślę, zobacz Polkę (...), u Wassylissy przy tumboczce - Polka złodziejka? - W życiu nie. Zapłakałam i zasnąłam. I śni mi się ojciec, tak jak został zabrany - w długim kożuchu (do sań się takie wkładało), w butach policyjnych z chlewkami, z gołą głową. Bardzo poważna twarz i mówi: "Nie rób tego, bo przepadniesz! (...). Tato mi mówi, że bym nie kradła chleba, pomyślałam we śnie - i obudziłam się. Oprzytomniałam z wrażenia, pomodliłam się za ojca i zasnąłam znowu (...). Potem już był gong na wstawanie, poszłam, umyłam się, były dość dobre warunki do tego, wytarłam się, wylazłam na swoje nary (wtedy z Haliną spałam na jed-

nych narach, z Haliną Sienkiewicz, a wszy nie było, było czysto) Czeszę się tam, zresztą kobiety zawsze...Dawali nam obozowe ubrania, ale nigdy nie chodziłyśmy w tych strasznych obozowych jubkach, zawsze coś przerabiałśmy (a szczupłe byłyśmy zawsze), coś przesyły, mając dostęp do białych skrawków zrobiłyśmy sobie kołnierzyczki, włosy sobie ponakręcałyśmy. Byłyśmy bardzo młode, wszystkie dziewczyny (tam były zadbane, bo warunki były, czystość. Choć głód niesamowity. Mężczyźni są bardzo biedni w obozach, gorzej się do nich odnosza. Siedzę więc na tych narach, rozczesuję sobie włosy, raptem czuje, że ktoś mnie chwyta za piętę. A spało nas w tej sali 50 osób- patrzę, stoi taka kobiecinka (znałam ją, wiedziałam, że gdzieś w kącie śpi) i mówi: "Dieuszką, wy taka młoda, mnie tak was żal, ja mam chlebka za dużo, pracuję w brygadzie roboczej, przyniosę wam ten chlebuszek i tę swoją zupę, bo wy głodna". Po tej nocy, kiedy mi się ten ojciec śnił! Całe życie będę to pamiętała. Przynosiła nam ten chlebek i zupę. Nigdy już ojciec mi się nie śnił.

I jeszcze coś o 6 punkcie. Nie było tam łaźni, postanowiono ją zbudować, przyszła męska brygada. I jak zaczęli kopać fundamenty to zaczęli wykopywać piszczele, czaszki, kości ludzkie. Oboz te były bardzo porządnie budowane, z wysokimi płotami - dla tych ludzi, których aresztowali w 37 roku i potem niszczyli. Czaszki nie były prze-strzelone, podbrązowiałe już (pewnie zagłodzeni), ziemia koloru brązo-czerwonego. Dziwny zapach się tam nad tym wszystkim unosił i kiedy ~~zaczęli~~ tę łaźnię wybudowano i poszła pierwsza woda, nie mogliśmy się kąpać w tej wodzie, bo ta woda była czerwona. Nam się zdawało, że to krwawa woda, bo widziałyśmy w te kości.

Tyle o Mordowii.

Jeśli chodzi o sprawy kobiece, higieny, okresów (miesiączek) to muszę wrócić jeszcze do więzienia w Wilnie na Słowackiego. Dawano nam tam bardzo mało wody do picia: dostawałam trzy łyki. Więc w czasie okresu często niektóre (Ja) nie piły swojej porcji bo "muszę obowiązkowo się wymyć". Choć troszkę. Na północy już człowiek miał dostęp

do odrobiny waty, mogłam się tam już umyć. W Mordowskiej SSR miałyśmy dostęp do tych skraweczków, tak że można było sobie jakoś poradzić. Dostawałyśmy bieliznę, bardzo brzydką, z białego płótna, jakieś pantalonki staromodne, z paskami, guzikami - ale czyste - koszule długie, bluzki i spódnice z "chłopczato bumażnego" materiału, z bawełny. Z białych skraweczków szyłyśmy sobie (a raz trafiły do nas z zakrojonej białe kawałeczki, na których znak Bielsko-Biała, pieczętka. Dziewczyny, mówię, patrzcie, na polskiej ziemi rósł ten len!) (...) szerokie pasy, te pasy zszywało się w prześcieradła, nawleczeni na poduszki z gałganów (...). Był taki okres, że można sobie było te rzeczy wyprać w baraku, a kiedyś "Szłapa" powiedziała, że nie ma żadnego prania w baraku. A tu zima. "Oddawać, obozowa pralnia będzie prała". A każda chciała mieć swoje: mogły być gruźliczki, zdarzały się i syfilityczki (...). Jednego razu przyszłam z pracy, nalałam sobie zimnej wody, wyszłam poza barak na podmurówkę żeby wyprać nawleczkę i pokrowiec z kołdry (którą jeszcze mama przyniosła mi do więzienia). Nie wiem ile było mrozu, ale ręce mi się zrobiły białe, wyszła dniewalna (dyżurna) i "Boże, co ty robisz! W tej chwili do baraku! Niech ja do izolatora pójde, ale ty to pranie skończ w baraku!" (...) Wszystkie takie sprawy załatwialiśmy oczywiście po pracy, w nocy. (...)

str. B
t. II

Co zaś do błatnych, to miałam szczęście: byłam z nimi raz króciutko, zanim dostałam się do Magadanu. (...) Już w szpitalu w Pieczorze podzielili nas na bytowików i politycznych i już jako polityczna przyjechałam do obozu koncentracyjnego do Mordowii. (...) W ogóle miałam szczęście. (...)

Halinę Sienkiewicz poznałam, jak mnie przywieziono pierwszym etapem z Wilna na Pieczorę, gdzie te dzielne dziewczyny nas ukradły i pojechałam do szpitala. Halina już tam była, chora. Nie pracowała tam, miała już astmę, leżała z gruźliczkami, bo miała gruźlicę i chore nerki, to był - już tam - delikatny, chry człowiek. Potem z Haliną przyjechałyśmy na 6-y punkt. Była z nami Irka Piedorowicz,

spałyśmy koło siebie, wszystkie trzy. Weselej tę bałandę razem się jadło. Bardzośmy się przyjaźniły. Halina była bardziej wytrzymała na głód, ja ciężko przeżywałam głód. Gdy patrzyłam na Halinę, myślałam, dlaczego ta dziewczyna jest taka przegrana!, biedna. Rozstałyśmy się, jak mnie wywieziono, one zostały. Halina została gdzieś wywieziona na jakiś obóz inwalidzki, między stare babki trafiła. A i w Mordowii cały czas chorowała.

Transport odbywał się w ten sposób, że ładowali ile wlaźło ludzi do bydłowego wagonu. Do załatwiania się była dziura w podłodze wagonu, taka stercząca do góry rynienka. W drodze o tyle lepiej karmili, że dawali kilogram chleba w etapie, mało picia. Nie pamiętam żebym marzła, bo z domu jeszcze miałam ciepły płaszcz z króliczym kołnierzem (to był płaszcz siostry), na nogach jakieś buty, a dawali nam walonki. (...) Podróż była długa bo przez całą Rosję. Nie przypominam sobie, żebym w wagonie bardzo cierpiała, może zapomniałam. Ale pamiętałabym to. Marznąć nie marzłam, pajok otrzymywałam i kipiątek gorący, to musiała starczyć, bo nie pracowałam. Jechało się chyba ponad miesiąc. To były pociągi, które przepuszczano wtedy kiedy tory były puste, nocami się jechało, stało się na poboczach (...) Gorzej niż podróż wspominam ten 6-y punkt w Mordowii, bo tam bardzo mi było trudno. Pamiętam ten głód, normę, straszny ból tych hemoroidów. (...) Dojechaliśmy do Buchty-Wanina. Jest wczesna wiosna, śniegu już nie ma, naczelnik nie może nas pod gołym niebem zostawić, prowadzi nas do jakiegoś ogromnego obozu z wierzchu bardzo porządnie wyglądającego: płot ogromny, wyszki. "puszcza nas tam i od razu uprzedza. Urki. Ja w tym swoim palcie z kołnierzem jestem pokazywana palcami (płaszcz bordo) Naczelnik nas uprzedził, że jak będziemy szły do ubikacji (a ubikacja okropna: wysoka, trzy metry w głąb tylko szcury pływają, drewniana, porządna, czysta) to "idźcie po 10, 20 od razu, nie pojedynczo, żeby was tam nie potopili. I siedźcie w kupce na swoich rzeczach". Patrzą, te urki zgrabne, młode jak my, wymalowane, chustki fantazyjnie związane, nogi ślicz

(ne

tylko strasznie złe oczy. To były dzieci "dziecdomów", twarze inteligentne, chyba z dobrych domów. Potem nam więźniarki tłumaczyły, że jak w 36, 7 roku rozstrzeliwali rodziców, to dzieci bżali do domów dziecka i z nich powstawały te bandy. Były to podobno dzieci z domów prawie że ałystokratycznych, inteligenckich (...) Naczelnik nasz był przerażony jak nas tam wpuścił, ja siedzę w tym swoim płaszczu i boję się nawet do ubikacji iść, bo mnie polcami pokazują. Zdenerwowana jestem okropnie. Mówię wreszcie: "Dajcie mi coś, może która ma jakąś porwaną tiełogrejkę, żeby ten królewski płaszcz schować, bo mnie one utopia gdzieś." Któraś wyciągnęła coś podartego i przestałam być widocznym punktem. Siedzę i trzęsę się. Jakaś Rosjanka mówi "zakuri!" - "Kiedy nie palę" - "Zapal! Zobaczysz, zaraz się będziesz inaczej czuła!". "a nie umiałam palić, ale wypaliłam jednego papierosa skreconego w gazecie, one zawsze skręty od konwoja wyciągały(...) Wtedy gdybym zaczęła palić, to bym paliła papierosy, ale myślę sobie: ja mam potem temu, co za mną idzie z karabinem "daj zakurit?", w życiu tego robić nie będę. I w życiu więcej nie zapaliłam.

Potem nas dali do baraku i kiedy już był zupełny wieczór, przwzedł do nas naczelnik konwoja, był to stary człowiek, i mówi: "Słuchajcie, doczki, doczeńki, ja wam przyniosę pałki, nie rozbierajcie się, nie kładźcie się, siedźcie na swoich rzeczach. Które wśród was bardziej odważne? Przy drzwiach i oknach (były maleńkie) żeby z pałkami siedziały, bo będzie na was nalot. One zechcą was rozebrać z tych waszych rzeczy. Jutro, jak będzie gong, na zawtrak nie idźcie, niech one zjedzą- ja po was przyjdę koło dwunastej, jak będzie gong na obiad. One polecą waszą porcję zjeść i swoją, a ja wprowadzę mój konwój bez broni i wy prędziutko do wachty! Zanim się zorientują, wyprowadzę was, mam dla was obóz za tym punktem przesylnym 6 km." I tak rzeczywiście zrobił. Całutką noc oka nie zmrużyłyśmy - trzy razy był nalot. Wyglądało to jak atak na obóz warowny, jak Częstochowa. Atak z wyciem, z przekleństwami, cały szturm. One leca, a nasze przy oknach

i drzwiach -tłuką. A ponieważ nasze mają pały, lagi grubości mojej ręki, tamte nie mogą podejść. Okna były bez szyb, zresztą jak jakaś była, to one wybiły. Wsadzały ręce przez te okna, wojna była niesamowita. A ja nerwowa, wrażliwa, może słabsza po tej chorobie - stracha miałam niesamowitego! W życiu czegoś takiego nie widziałam, wojnę przecież przeżyłam, a takich ludzi nie spotkałam. Ale Rosjanki, niektóre Litwinki, a szczególnie kołchoźniczki już znały ten element umiały się bronić.

Tak jak naczelnik nasz powiedział, godzina dwunasta, one poleciały na żarcie obiadowe, a ten: "Bystriej dziewczki, bystriej dziewczki, skoręej, skoręej - dochodzimy do drzwi, one się zorientowały. Ktoś im dał cynk - zawyły tylko jak dzikie zwierzęta, wyleciały. Uszła im gratka - każda z nas miała jakiś tłumoczek, nikt nas nigdy nie okradł, bo zawsze byliśmy między politycznymi. Wyprowadził nas naczelnik, w tej chwili bramę zamknęli (Konwój na teren obozu nie mógł chodzić z bronią). Po tym obiedzie miał być nalot, bo mężczyźni (obok za wysokim płotem byli więźniowie), mieli tym dziewczynom przerzucić noże. Ci by na pewno nie strzelali, mogło być coś okropnego. Tak że naczelnik bardzo się spieszył. Kiedy wyszliśmy za zamek, brama się zamknęła, konwój mówi: "Zaaal, zaaal, ot, ot, byliby posmotrili tiater!" Oni by mężczyznom pozwolili zeskoczyć z tych wysokich płotów drewnianych. Ten naczelnik był dobry człowiek, ale też i swoją skórę chronił, bo odpowiadał za każdego człowieka. Nas nazwał "doczeńki", starszy człowiek. Potem jak już nas wyprowadził, mówi: "Siadajcie, sława Bogu, uciekliśmy. Odpocznijcie trochę, mam dla was barak, opuszczoną kolonię, trzeba tylko 6 km. iść". Miało się już ku wieczorowi ale jeszcze jasno. Po drodze on opowiada, jak to było. Jak zorientował się, że nas wsadzają do zony urków, to poleciał do naczelnika i mówi: "Daj mi jakąkolwiek kolonię, obojętnie gdzie, bo mi tutaj ludzi porzną" - "A tobie życie niemiłe? Przecież oni wszyscy uciekną, do obozu pójdziesz!" - "Ani pół sztuki mi nie ucieknie, ta-

kich mam ludzi" - "A skąd ty masz takich ludzi!" - "Mówię ci, że nikt mi nie ucieknie". I, mówię, wyobraźcie sobie, dostałem tę kolonię. Tam jest marnie, baraków nie ma, ale idzie wiosna, zobaczymy. Tu nie mogłyście zostać. Idziemy. To jest 6km, każda niesie jakiś tłumok, ja już miałam walizkę drewnianą, jeszcze bez pokrowca, w Mordowii mi tę walizkę zrobili (śmiej). Na Kołymie została. Idziem⁴ kto silniejszy, to doleciał prędzej, a ja idę, niosę ten swój czumadan, idę ostatnia, ze mną jeden żołnierz. "Pomógł⁴ bym ci nieść ten czumadan, ale mi nie lizia". Widzi, że ledwo idę, zdenerwowana i nie wyspana. "Nic nie szkodzi, wiem, że ci nie wolno" - po rosyjsku rozmawiamy. Idziemy dalej, raptem ciach, mój czumadan się otwiera, wszystkie szmatki wylatują na szosę. (śmiej) Żołnierz klęka na drodze, kładzie karabin między mną a sobą, zaczyna mi to pakować do tej walizki, do kieszeni rękę wsadził, wyciągnął jakiś sznurek (jak to u żołnierza, zawsze się coś znajdzie), związał mi ten czumadan, idziemy dalej. Zanim się dowlokłam, już w dwóch brakach, kto się zmieścił, był rozlokowany, szarówka, gdzieś się przytuliłam i doczekaliśmy rana. Naczelnik zadowolony, że nas uratował. Mówi: "Nic nie szkodzi, niedługo tu będą białe noce, będziecie mogły spać nawet^t na tych półkach, tu klimat dobry, wiosna idzie" - i wskazuje na półki w terenie, bo obóz na zboczach pagórka. "Jakoś to będzie, tylko patrzeć białych nocy, zobaczycie, jakie to piękne, paki się rozwina. Było nam tam bardzo dobrze, byłyśmy tam pół roku. Miałyśmy kilogram chleba, trochę nas wyprowadzali do roboty, jakieś gałęzie zebrać do kuchni, jakieś drzewo przynieść. Ja zapisałam się od razu "w artysty", bo musi być "krużok samodzielności" (śmiej). Dobry był ten naczelnik, przylatywał, pytał się Wno jak? Jesteście głodne? Czego wam brakuje? I jaka to piękna rzecz te białe noce! Jak się spało na tym podwórku, na tej półce, to się widziało: ciepła noc, słońce idzie ślicznie po niebie, zachodzi za horyzont, ~~xxxxx~~ schowa się zupełnie i potem raptem hop! wyskakuje i z powrotem^{tem,}

Wszystko kwitnie, ptaki śpiewają, drzewa liściaste, w dole płynie cudna rzeka. My za drutami, przez druty wszystko widać, świat boży widać ślicznie. Czekamy na nawigację. Baby muszą zawsze pracować. No to mówimy, grażdanin naczelnik, musimy do prania iść. To dobrze, on nato, zbierać się w 20 sztuk, dam wam jednego konwoja, tam jest rzeczka to sobie wypierzecie. Wzięłam te swoje ciuchy z tych kawałków bielusińskich, mieliśmy mydło, bo już w tym czasie dawali. Woda zimna, ale pięknie się wszystko wyprało, woda pięknie mydlaca! („...”) Mój len był jak bielony w słońcu, ale też po pół roku wszystko mi poszło w drzazgę, wszystko się podarło. Musiała ta woda mieć jakieś domieszki mineralne.

Bardzo tam było dobrze w tym obozie przejściowym. Pojawiła się tam biegunka, ludzie chorowali mocno (nikt nie umarł), ja też byłam chora. Dzięki Janeczce Stundisz trafiłam do szpitalika. Biegunka się skończyła, naczelnik konwoja, powtarzam, bardzo dobry człowiek, znalazł jeszcze jakieś leki dla nas. Wróciłyśmy do normy, nikt nie kradł przy gotowaniu jedzenia, więc tę normę w etapie wszyscy całą dostawali. Z saneczki (ośrodka zdrowia) można było dostać "rybi ~~xx~~ żyr", to było bardzo smaczne, nie miało smaku tranu. Janeczka dała mi tego do buteleczki (po chorobie). Koło mnie spała Rosjanka: "Tobie to dobrze, tobie podругa dała takie rzeczy!" Czasem jej poleżałam tym chleb, żeby nic nie gadała. To było chyba z witaminami, dobre. Poza tym dziewczyny wyglądały bardzo dobrze, ciepło było, zielono. To był ~~tok~~ rok 1950, jeszcze numeru nie miałam. Te pół roku bardzo długo wspominałam. Myłyśmy się w tej rzece, puszczali nas codziennie rano, 20 sztuk, jeden konwój. Naczelnik mawiał: Ty się odwracaj, ~~nikt~~ one ci nigdzie nie uciekną, chcą się wynieść, pokapać. Nie wiem, skąd się tam wziął taki "baćka". Tak, zdarzali się porządni ludzie.

Trzymali nas tam, bo nawigacja odbywała się na morzu Ochockim tylko jesienią (nie wiem, dlaczego), stamtąd musiałyśmy odjechać do Magadanu.

Nie pamiętam nazwy statku, którym płynęliśmy. Żadnego sztormu nie było, do Magadanu przyjechaliśmy normalnie. Przesyłka znajdowała się 4 km za miastem, duży obóz, rozbudowany, z dobrymi barakami, jedne baraki starsze, drugie nowsze. Miałam nieszczęście trafić do baraku, gdzie były "spłasznyje nary", nie ma nic gorszego. Ale jak przyjdzie nowy etap, jest ciasno, zanim odprawia trochę ludzi. Pamiętam to odwracanie się na komendę; leży się jak śledzie w beczce, nie można nóg podciągnąć ani się skurczyć, nic absolutnie. Jak jeden bok zaboli, to na komendę człowiek się przewraca na drugi. Spałam z taką Zosią, przypuszczałam, że jest chora na płuca, bo bardzo się pociła i jak rano wstawałam, to cała połowa mojej osoby, która przytykała do niej, była mokra. Bardzo była chora ta Zosia.

Tam chodziło się też do pracy do różnych brygad. Bałam się bardzo etapu, bo etapy były dalekie, szły w głąb Kozłomy, wysyłali nawet samolotami 1000 albo 2000km. Tam nie było różnicy, nie tylko mężczyźni pracowali w kopalniach, kobiety też. Bałam się takiego etapu.

twórca 3

Nastąpił okres, który nie jest wart większej uwagi, czasem się chodziło do pracy... Pewnego razu wywołano mnie na etap, byłam w baraku. Zaczęło się coś ważnego. Kazano nam się spakować z rzeczami i trzy dni siedziałam i czekałam na etap. Pewnego razu rano weszli: "Wychoditje!" Wychodzę, ludzi dużo, duży etap, polityczni, ale jeszcze numerów nie mamy. Wyczytują nazwiska - mojego nazwiska nie ma.. Więc podbiegam do konwoja: "Wczoraj mnie wyczytali, a dziś mnie nie ma!" . -"A jak familia" - sprawdza - "Nietę tiebia, dawaj na nary!". Nie ma mnie, dobrze. Zostałam na przesyłce. Dają mnie do jakiejś brygady, tam już nie ma szwalni, tylko budownictwo. Więc kopanie transzei, więc noszenie cegieł, więc jakaś zaprawa murarska. Więźniowie jako siła pomocnicza dla fachowców. Znow zaczynam głodować mocno, słaba jakaś jestem, zaczynam chorować - nie mogę tej pracy znieść. Chyba mam silną anemię. Tam się zimą też buduje, bo wieczna zmarzlina zimą i latem, pół metra, czasem i 20 cm tylko odmarza.

(...) Trafiam na niedużą budowę, brygadierka jest tam Szura, ładna dziewczyna, studentka z Moskwy. "Wiesz, Krystyna, ja wiem, że ty nie możesz kopać transzei, postawię cię na lżejszą pracę. One będą kopały w dole, a ty wyrzuconą ziemię będziesz odgarniać dalej łopata." Póki ta góra ziemi była nieduża, mogłam to robić, ale potem i na wysokość dwóch metrów ziemię tę trzeba było odrzucać... Nie dawałam rady. Ledwo wracałam na przesылkę (4km), straszliwie bolała mnie głowa, okręcałam ją wszystkim, co miałam na głowę (chustki, czapki) może to była anemia albo zmiana klimatu?

Potem przenieśli mnie na budowę większą. Budowano tzw. "korpus administracyjny". Ładna brygadzistka przedtem mnie nie chciała, choć do różnych brygad mnie przyłączano, bo zawsze byłam ta "odstajuszka", po prostu nie miałam siły pracować. Jedna z tych brygaderek kiedyś powiedziała: "Ty nawierno u mamy na komodie stojąka", nikak nie umiejesz rabotat" -dobrze to sobie zapamiętałam.

Bałam się każdego etapu, a parę razy na etap mnie wywoływano. Kiedy przychodziło do wyjścia - zawsze zostawałam. I tak było przeszło dwa lata. Nie mam pojęcia, kto mnie chronił. Była taka Wala, naradczycyca, Rosjanka, chodziła do naszych dziewczyn, które pracowały w brygadzie "remontowaj", takiej, która reperowała walonki i buty. Tam pracowały moje koleżanki, które już wcześniej były na Kołymie, Lwowianki, Zdzicha i Jaśka. Przyszła do nich ta Wala i mówi: "Co jest z tą Krystyną! Porządna dziewczyna, nie stukaczka, w brygadach nie może pracować, bo rozmawiam z brygadierkami. A jak jest etap kierują ją ją na każdy! Ale jak tylko pójdzie spis do politycznego oficera, jest wykreślana! Interesujące. Przecież nie stukaczka, żaden stukacz by się nie utrzymał dwa lata!" Kiedyś przyszłam z pracy i po skromnym (marnie nas tam karmili) obiedzie na przesылce odwiedzam Jaśkę i Zdzichę. One: "Kryśka, gdzieś ty i co nabałaganiła w Polsce? Wiesz, co masz w swoich papirach?". Tłumaczę, że w Mordowii powiedziałam naczelniczce, że jeśli będę nakarmiona i wyleczona, będę

pracować. I chyba dlatego jestem tu, na Kołymie. "Wiesz, co masz w papierach? Ty masz tam rzymską piątkę, ty jesteś wybitnie niebezpieczny element, ciebie nie wolno nawet na sianokos wysłać! I dlatego dwa lata na przesyłce siedzisz i na żaden etap nie pojedziesz! Ale słuchaj: pod karą śmierci nie wolno ci powiedzieć, że wiesz o tym. Powiedziała nam to Wala. Mówimy ci, żebyś była spokojna, nie bała się etapów". A groziła mi kopalnia, pryiski złote, lesopowal i Bóg wie co, a pracować nie mogłam. Adnotacja przy moim nazwisku oznaczała, że jestem buntowszczyca, niebezpieczny element. Bali się - niech siedzi tu, na oku, nawet na sianokosy jej nie trzeba wysłać! Tak zrozumieli tę adnotację! Przypuszczalnie naczelnica miała co innego na myśli: ja ci tu dołożę, zdechniesz na tej Kołymie gdzieś! Nie wiedziała, że mnie uratuje, że prawie 5 lat przesiedzę na przesyłce na Kołymie! Niewiarygodna sprawa.

Ale zdrowie i siły nie miałam, dalej głodowałam okropnie. Każda brygadzystka chciała, żeby norma była wykonana, bo bez normy ludzie chleba nie mieli. Szura, brygadzystka, którą wspomniałam wcześniej, kiedyś mi powiedziała: "Słuchaj Krystyna (to mój pseudonim, tak mnie też koleżanki nazywały), ja muszę was spisać na etap. Nie gniewajcie się, brygada musi dostać chleb". "Spisujecie, Szura mówię, i mam nadzieję, że nie pojedę i tym razem. I rzeczywiście. Ale nadal byłam głodna.

Była tam pewna pani Zosia, pracowała w kuchni, miała tam jakieś układy. Rozdawała w "jadalni" więźniom po maleńkim czerpaczku drożdży. A że była wygodna, zaproponowała mi, żebym za nią te drożdże rozdawała w zamian za jej porcję zupy i trochę kaszy. Była to dla mnie wielka sprawa. Ledwie wracałam z pracy, zdejmowałam tielogrejkę, przyczesywałam włosy i leciałam rozdawać te drożdże, bo na jedzeniu mi zależało. Pani Zosia niezbyt trzymała z Polkami, na razie nie wiedziałam, dlaczego. Po pewnym czasie stało się głośne, że ta osoba uprawiała miłość lesbijską z jakąś ohydą Rosjanką.

Może nie było to dziwne, bo ludzie mają różne temperamenty, zamyka się ich na tyle lat - ale nam, Polkom, było wstyd, bo myśmy miały bardzo dobrą opinię. Moje koleżanki z pracowni reperacji walonek, Jaśka i Zdzicha, mówią: "Ty musisz odejść z tej kuchni, zostawić te drożdże, nie wolno mieć nic wspólnego z tą Zośką! Nam jest wstyd my ją wyklinamy! Nam jest wstyd, to nie jest przecież młoda dziewczyna, lecz kobieta czterdzieści kilka lat, jak to wygląda!". "Ale ona mi daje zupę i kaszę". "To ty jesteś głodna? (nigdy nie rozmawiałam o moim głodzie z koleżankami) My tobie damy 15 pajek chleba dziennie, bo tyle nas tutaj jest i żadna z nas tego nie potrzebuje. Tylko nie chodź tam, bo nam jest wstyd, jak stoisz koło tej Zośki!" Przystałam tam chodzić. Sytuacja taka: przychodzą brygady, Zośka drożdże rozdaje. "Niech ta młoda rozdaje, my się brzydzimy!" - wrzask. Ale ja już nie poszłam. Znalazła chyba kogoś innego.

Dostawałam 15 pajek obozowych od koleżanek, wszystkie nie zjadałam. Więc rozdawałam wszystkim moim Polkom, zaprzyjawnionym Ukrainkom, zostawiałam sobie 5 takich sztuk (...) Kilo takiego obozowego "koksu" to wcale nie jest tak dużo. Chodziłam sobie do biblioteki, brałam wspaniałą literaturę (rosyjski znałam jeszcze z tych dwóch lat w Wilnie) i czytając, ciągle jadłam ten chleb... ciągle jadłam ten chleb. Zjadam tyle, że zostaje mi dwie pajki, myślę, Jezus Maria, może zostawić, jutro mogę nie dostać tego chleba! Zostawię, za chwilę myślę, przecież jutro znowu mi dadzą - jaka ja głupia! Ten chleb miałam już chyba aż do końca. Już tak nie głodowałam, bardzo się poprawiłam, cyngla mnie opuściła, przestałam mieć tę awitaminozę okropną (...) Z tak zw. ~~ślannika~~ ^(m) krzewu kołymskiego, robili ~~z tego ślannika~~ ciemnobrązową ciecz i dawali to więźniom. Była to bardzo witaminowa ciecz. Awitaminoza to nie tylko wypadanie zębów. To też rany na nogach, rękach, ciele.

Zanim to wszystko się stało, zanim dostawałam ten chleb, byłam tak głodna, że chodziłam pod kuchnię obozową ukradkiem; stały

tam beczki ze śledziami (a te śledzie chyba ze 20 lat w soli leżały były wściekle słone), kradłam śledzie, patrząc, żeby mnie nikt nie zobaczył i czasem zjadałam po 9 tych śledzie bez żadnego chleba, bez niczego. Ale jak z pęcherzem zaczęło być bardzo źle, pomyślałam: nie chcę tak umierać jak umierały te dwie dziewczyny na Pieczorze, którym ktoś powiedział, że jak będą jadły sól i piły wodę to pójdą na wolność. I przestałam jeść te śledzie. A potem miałam chleb i już było lepiej. (...) Moje koleżanki mogły sobie pozwolić na oddawanie pajek, dlatego że między nimi były Ukrainki, które otrzymywały paczki. Poza tym to były zdolne dziewczyny, umiały robić buty. Wolni przynosili im skórę, robiły im buty. Jedna, bardzo zdolna, wycinała wzór w skórze przepiękny, a Jaśka robiła śliczne pantofelki dla żon zatrudnionych u nas naczelników i innych. Ludzie ci przynosili im pieniądze albo jakiś prowiant. Tak że one miały jedzenie i mogły mi ten chleb oddać. A że nigdy na temat głodu z nimi nie rozmawiałam, wyszło to dopiero na jaw (że tak strasznie głodują) przy sprawie owej Zosi.

Niedługo przed moim zwolnieniem popędzono mnie do jakiejś roboty -ot, żeby w zonie nie siedzieć. Z pewną Ukrainką miałyśmy dokończyć kopać głęboki rów pod fundamenty w wiecznej zmarzlinie, cały ogromny dół to był. Obok usypiska w górze, a myśmy musiały głęboko zejść i metr kwadratowy jeszcze wyrąbać "kirkami" na wys. 20 cm, żeby to już było zakończone. Tam postawiono mnie i te Stefę Szmataluk (dobrze zawsze pamiętam jej nazwisko). Kiedy włąziłam do tego dołu, jakoś miałam stracha, bałam się, nie chciałam zginać, do końca wyroku było niedługo. Mówię do Stefy, że się tam boję iść. "Krysiu, to wy tam nie idźcie, ja tam wejdę, mam 25 lat wyroku, a wy może coś przeczuwacie? Nie idźcie tam". A mnie jakby ktoś trzymał: nie idź tam? Stefa poszła, wyrąbała to, nic się nie stało. Może byłyśmy pod wrażeniem, bo na przesyłce stała się taka rzecz: pięć dziewczyn zostało zasypanych, wśród nich jedna młoda Polka

bardzo chora, nieuleczalnie, której już nie brano do pracy. Ale ponieważ coś trzeba było skończyć nagle - wszystkich chorych też zabrali i kto tam jeszcze był w obozie, żeby wykończyli coś przy kopaniu właśnie dołów pod fundamenty. Zosia słała się na nogach, była blada, ale mieli tylko 4 osoby, a potrzebowali piątej. Zerwali z barkołu tę Zosię - "idź tam!". Więc podeszła do Wali naradczycy, a Wala była bardzo dobra, mówi: "Wala, ja nie mogę tam iść, ja tak nie mam siły, mnie nogi mdleją, nie mam siły". Wala wiedziała, że Zosia jest chora: "Sofija, ty tam pójdziesz, postoisz, nie mam prawa cię zatrzymać". Poszły, dziewczyny weszły do dołu, zwała się okropna ziemia i pięć dziewczyn zasypało na śmierć. (...)

(...) Były też dzieci obozowe, jakieś stosunki z mężczyznami były, to wszystko było młode. Między innymi dziecko miała jedna nasza Polka, była to dla niej tragedia (...). Problemy okropne. Dzieci obozowe gromadzili na Kołymie na 23 kilometrze. Do obsługi tych dzieci, które były na Kołymie do trzech lat, brali zawsze matki. Bo dzieci miały dobre wyżywienie i było wiadomo, że matki nigdy nie będą dzieci okradały, choćby były najbardziej głodne. Widziałem na własne oczy jak przywieźli dziewczynki i chłopaczków, którzy już mieli po trzy lata i wieźli te dzieci na matierik z Kołymy. I z dziećmi przywozili matki, które już tam nie musiały pracować, dzieci jechały do Rosji centralnej. Widziałam rozpacz tej Władzi. Jej córeczka była bardzo ładna. Dzieci były przepięknie ubrane: każda dziewczynka miała innego koloru sukieneczkę, fartuszki, kokardki na głowach. Chłopcy krótkie spodniczki (było lato), piękne bluzeczki z marynarskimi kołnierzami, buciczki, skarpetki do miary. Żal było patrzeć - czyjaś tragedia to dziecko, ktoś płacze i bardzo się martwi. Władzia strasznie płakała, aż mdlała, ale nauczelnik, który przywiózł te dzieci, mówił: "Nie bezspakojsie, nie bezspakojsie, Władysława, ile masz jeszcze wyroku, cztery lata? Nie szkodzi,

skończysz wyrok i choćby twoje dziecko było nie wiadomo gdzie w Rosji, ty to dziecko dostaniesz." Jaki był dalszy los Władzi nie wiem, bo zaraz potem wyrok kończyłam. (...) Może Władzia nie dosięgła swojego wyroku, bo już się Polska o nas upominała, zaczęły się rehabilitacje, nawet tych z wyrokami 25 lat.

Była tam u nas na przesylce Henia, bardzo zdolna dziewczyna, skończyła konserwatorium we Lwowie, słuch absolutny, grała na wszystkich instrumentach. Miała (gdzieś z Kołomy) synka, który nie pojechał na matierik, bo zanim on skończył trzy lata, mogła zabrać dziecko, bo wyszła na wolność. W Magadanie był teatr, szkoła muzyczna (to piękne miasto) i tam była Henia nauczycielką. Synek jej miał na imię Tadeusz, Tadzio. Kiedy go odebrała, nie mówił po polsku. Ale kiedy odjeżdżaliśmy do Polski, wiozła Henia swojego syneczka i już ślicznie mówił po polsku. (...) Henia przywiozła syna do Polski, do swojego ojca, który miał z nią kontakt listowny, jej ojciec pokochał to dziecko, Henia wyszła tutaj za męża i mieszkała gdzieś w Katowicach (...).

Jak już mówiłam, zawsze, kiedy byłam typowana na etap, oficer polityczny mnie wykreślał z listy. Różnie na to patrzyli. Pewnego razu przyjechały Litwinki z Wilna. Jedna z nich, Aldona, nieprzeciętna szowinistka, inteligentna, studentka uniwersytetu w Wilnie (nie wiedziałam, że już przemianowany, nie Stefana Batorego), lubiła sobie ze mną podyskutować. Byłam już 4 lata na przesylce. (...) Znowu etap wyznaczają, Aldona jedzie, a kiedy już przychodzi zbierać się "s wieszczami", mnie znowu nie ma na liście. Aldona do mnie podchodzi: "Ja nie dumam, Kristina, czto wy tak nisko upali!". Widocznie między Litwinkami była mowa, że ja mogę być stukaczka. "Kak żal, Aldona, czto wy nie znajecie, kak wy obszybajetiesia" - powiedziałam, bo nie mogłam jej przecież tłumaczyć. Aldona nie mogła wiedzieć, że stukacz nawet roku nie utrzymał się na Kołymie, na przesylce. To było niemożliwe: wsypie kogoś, ten ktoś dostaje wyrok - te rzeczy

ludzie jakoś wiedzą. Ale ja znałam tajemnicę, dlatego nie wyjeżdżam na etapy. W tym okresie coś się tam zmieniło u naczalstwa odnośnie mojej osoby i postanowiono mnie wysłać 60 km. od miasta w tajgę z początku na lesopowiąz, a potem na sianokosy. W lesie było tragicznie. Drzewa wysokie, ogromne, śnieg po brodę, najpierw (parami) piłowałyśmy, żeby drzewo zwalić. Moją parą była Litwinka, z wykształcenia felczerka. Była bardzo "porządkowa", więc każda gałązkę musiałyśmy obciąć. Byłyśmy wtedy rozkonwojowane, konwój przy nas nie stał w pracy. Wszystkie moje koleżanki Rosjanki dawno już poszły z lasu, wymyły się, zjadły i leżą w tym baraku, a my z Aldoną, Boże kochany, walimy te kloce, piłujemy, składamy w "sztabel" - szarówka się robi, słońce zaszło, a my z Aldoną dopiero wracamy. Zabrali ją wreszcie do saneczki, punktu medycznego, mnie przydzielono do innej brygady z Rosjankami - dwunasta godzina, my już z powrotem. Jak one układały to drzewo! Czasem 60 cm sterczały korzenie, ale wszystko tak ułożone, że jak przychodził wolny i wtykał linie (mierzył) wszystko pięknie zabudowane, nigdzie wolnej przestrzeni! Potem dopiero, przy wywózce mówili, że w stosunku do tego, co zapisane, była jedna trzecia normy. Ale to już nie była nasza sprawa.

Sianokosy to już była łatwiejsza rzecz. Nie bardzo umiałam kosić, ale wszystkiego można się nauczyć. Rzeka była piękna, jedzenie całkiem niezłe. W rzece były chyba łososie - "kita" czerwona, "kite" biała. Nasza kuchnia wyglądała dobrze, bo jarzyn wprowadzili nam nie było, ale jak takiej rybki nam ugotowali to było coś wspaniałego.

Latem dawali nam buciki z krótką chlewką. Otarłam sobie nogę. Buciki miałam zawsze na miarę, bo miałam w obozie Zdziche i Jaškę. jak dostałam za duży numer (40 albo 45) to "przynieś, Kryśka, my ci wymienimy w kaptiorkie"; więc zawsze miałam swój 38 numer. A miałyśmy też do chodzenia w baraku drewniaki, też ogromne numery, też mi wymieniały i przerabiały "żebyś miała takie wygodne, wsuwane".(...)

str. B
t. III

Kiedy otarłam sobie bardzo poważnie nogę, dziewczyny złapały rybę w rzece (następuje opowieść o tym, jak trudno zabić rybę a potem ją zjeść, bo "żał tego życia", a dziewczyny powiedziały "Ot dura nabita, ryby żalejet")

Na sianokosie jako bezkonwojowe mogłyśmy w sobotę po pracy biec 16 km drogą przez tajgę (i spędzić niedzielę na przesyłce). Nie bałyśmy się. Zbiegów na Kołymie nie było, latem nie było też niedźwiedzi, najwyżej czasem, jak się zbierało jagody zw. morożka, widziało się niedźwiedzie odchody.. Więc w sobotę po pracy leciałam te 16km do trasy, żeby pojechać na przesyłkę magadańska spotkać się z koleżankami, pogadać, odświeżona świeżym powietrzem. Pewnego razu stoję już na szosie, jedzie samochód, podnoszę rękę, zatrzymał się. (...) Siadam, kierowca wypytuje, rozmawiamy, w pewnej chwili obejmuje mi szyję ręką. Straciłam rękę: "Otwieraj drzwi, wypuść mnie!" Zdziwił się: "Ty Estonka czy Polka?" (...) Ceniono Polki. Ja jednak będąc na przesyłce i wiedząc, jak wyglądało życie dziewcząt, które w jakiś sposób z kimś się wiązały, nigdy nie chciałam problemów. Już się szykowałam do wolności. A zresztą, z jakiej racji on mi raptem zarzuca rękę na szyję! O nie, mój kochany, nies-tety! Zresztą może mam taki charakter.

(.....) Cały czas byłam wśród politycznych, myśmy były izolowane nie zetknęłam się z gwałtami itd. Ale szykuje się na wolność, a tam gdzieś na trasie urki zwalniają, którzy kończą wyroki. Oni potrzebują "żon". Drżymy wszyscy, w tej liczbie i ja, żeby czasem pod koniec wyroku nie została gdzieś wywieziona i tam zwolniona - wtedy co dalej? Pewna Zosia ze Iwowa skończyła wyrok i została bardzo daleko wywieziona poza Magadan. Zeby się uchronić od urka związała się z Gruzinem, bardzo przyzwoitym człowiekiem, starszym od niej o 20 lat, wyszła za niego za męża. I jechała Zosia do Polski z tym człowiekiem, dwie córeczki wieźli. Kiedy przyjechała a ojciec się jej wyparł (.....)choć ten mąż był człowiek przyzwoity

i szanował Zosię, małżeństwo się utrzymało. Niektórzy z naszych odwiedzali Zosię, ale nie poznawała ich, mówiła: "Pan się myli, nigdy nie byłam na Kołymie, to nie moje nazwisko" - odsunęła się od wszystkiego. Nie wiem, czym to wytłumaczyć - z wielką radością jechała do ojca (który dwoje dzieci z trudem samotnie po śmierci żony wychował), a ten się jej wyparł, nie wiem jakimi słowami. A to była wspaniała dziewczyna. Ale takie rzeczy się zdarzały: mam koleżankę, której mamusia też powiedziała "a skąd ja mogę wiedzieć, co ty tam w tych obozach robiłaś, z kim się zadawałaś!". (...)

Kiedy umarł Stalin, megafony nadawały w barakach muzykę - trzy dni jęczenia. Jestem w tym czasie na OP (barak, w którym są lepsze warunki: jedzenie, człowiek się wyśpi, do pracy nie chodzi, czyściutko, ładnie). Przerabiałam sobie starą kołdrę, dziewczęta przez kogoś wolnego kupiły mi materiał, szykuję się na wolność za rok. Miałam już kontakt z Polską, listy, które przychodzą na adres pewnej pani Zosi, która wcześniej została zwolniona, mieszkała w Magadanie. Dowiedziała się, że z wolności można pisać do Polski. Znałam adres mamy: Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Chrobrego 2 m.2, ten adres podała mi jeszcze w Wilnie na ostatnim widzeniu na przesyłce, zapamiętałam go. Kiedy pani Zosia wyszła na wolność, napisałam do niej (bo przecież mama nie ma żadnej wieści ode mnie - zginęłam, przepadłam, umarłam) z prośbą, żeby mój list przesłała pod ten adres. Jeśli nie będzie odpowiedzi, nie będę jej więcej niepokoić. Bała się na pewno, bo była pierwszą Polką, która wyszła na wolność i raptem tu list aż do Polski! Przeszło dużo czasu, pracowałam wtedy na budowie. Jestem na III piętrze, słyszę, że dziewczyny biegają, szukają mnie: "Słuchaj, tam jakaś pani stoi tak, żeby żołnierz nie widział z wyszki, podejść, ona jakąś kartkę w ręku trzyma, chce ci coś powiedzieć?" Podeszłam, ona mi krzyknęła "list z Polski!" - myślałam, że z tego trzeciego piętra machnę się na dół. Nie mogę się doczekać końca pracy, jeszcze nas prowadzą "strojem" te 4 km. Przy-

chodzimy - jest list, moja siostra pisze, że dostały mój list. Kiedyś pisałam do dozorczyńni mego domu w Wilnie, że ciężko byłam chora na zapalenie płuc i ona to mamie opisała. Może umarła? - a tu przyszedł list ode mnie. "Odezwij się jeszcze raz, bo po prostu uwierzyć nie możemy". Pani Zosia zgodziła się, żebym przez nią pisała i już regularnie przychodziły listy, ona mi je przynosiła. Ona też wymyśliła taką rzecz: ponieważ mama mieszka w Gdańsku, a ona miała dwóch synów w Gdańsku - moja mama w jakiś sposób pomoże tym chłopcom (obiady), a ona mi tu, w "zagadanie pomoże. (...)

A więc Stalin umarł, ostre pogotowie, jęk radia, wszyscy chodzą na baczność, patrzą, co my robimy. A miałam już dużo listów. Jak było jakieś święto, imieniny, B. Narodzenie, każda Polka chciała tych listów dotknąć, przeczytać (...). Dostałam pocztówkę, nakleśone kwiaty górskie (mam ją jeszcze), szarotka. Kiedy leżałam w tym baraku OP, listy miałam pod poduszką, światło się w nocy paliło, przeglądałam je, czytałam. Wtedy w nocy słyszę (a tu ostre pogotowie) - targa mnie ktoś. Patrzę - stoi "nadieratielnica" z twarzą okropną, jak buldog i, Boże, Boże, trzyma w ręku moje listy! Nie czułam, jak mi je wyjęła spod głowy! A listy po polsku. Myślę, przypadło, wszystko mi zabierze. Ona przegląda fotografie mamy, siostry, kuzynów różnych. "A kto eto budiet, a kto eto?" -wypytuje, ja objaśniam (to, że listy były po polsku jej nie przeszkadza, widzi, że nie po rosyjsku, a Ukraińki dostawały listy spod Lwowa itd, tylko nam z Polski nie wolno było). Nareszcie natrafia na widokówkę z "Darem Pomorza", odkłada ją. "Dlaczego mi to zabieracie?" - "Wojennyj korabiej nie polagajetsia w łagiere!" Myślałam, że pękne ze śmiechu. Zabrała mi ten "wojennyj korabl" - twarz jak u buldoga, w mundurze służby radzieckiej z pagonami, Boże kochany. Kołdry mi nie zabrali.

Wracam do czasu, kiedy się trzęsiemy ze strachu (te, które mają kończyć wyrok), żeby nas nie wywieźli na trasę na żony dla urków. Nie daj Bóg, żeby jakaś tam była samotna, bo jak się do którejś

ktoś wcześniej przyczepił, dawali spokój, nie ruszali. Ale ja miałam szczęście. Przede mną powieźli kobiety w tajgę, a ja zostałam zwolniona w Magadanie. W Magadanie już było dużo Polaków. Była taka wspaniała para: Nela ze Lwowa i Andrzej, który był wywieziony w 39 roku na Kołymę. Skończył wyrok i tam już pozostał. Spotkali się, Nela była wdową, wyszła za niego za męża. Andrzej miał malusieńki pokój, może trzy na dwa metry. Stał tam jakiś tapczan, stół. Kto wychodził na wolność - pierwsze kroki kierował do Andrzeja i Neli. Tam był nasz pierwszy przystanek. A wychodziliśmy bez grosza, bez jedzenia, bez niczego. Każdy sobie jakoś przerobił obozową tęgogrejkę, żeby było ładniej (...), ale poza tym nic. Szło się do Andrzeja i Neli. Oni wyszukiwali między Polakami, kto tam może mieć jakie miejsce, żeby parę nocy przespać, a potem kontaktowali z kimś żeby można było pracę załatwić. Moja Zdzicha i Jaśka były już na wolności, pracowały w "Promkombinacie".

Kiedy zjawiłam się u Neli, ona mówi: "Skontaktuję cię z Jaśką i Zdzichą, a nocować będziesz, póki nie załatwisz sobie pracy, u pewnej pani Tosi, która jest (też Polka po obozie) służącą u naczelnika wszystkich kopalni złota na Kołymie. Jej chlebodawcy są w tej chwili w Soczi, mieszkanie wolne, będziesz tam spać, póki nie załatwisz sobie "obszczeźycia" (hotelu robotniczego)." Jest 9 sierpień, rok 1954. Idę do pani Tosi. W przedpokoju była staromodna pluszowa kanapka, pościeliła mi, tam spałam. A na posiłki chodziłam do wszystkich naszych (każdy miał wyznaczone), podkarmiali delikwenta, który wyszedł z obozu. Zorganizowane to było. Już wtedy Wacek Kopisto był na wolności, Nela, Andrzej, Zdzicha, Jaśka, Alina Kopisto - dużo ludzi. Jak się poszło do kogoś, to już ~~xxx~~ tam cały dzień człowiek był karmiony. Jaśka i Zdzicha pytają: "Jak chcesz pracować? Lekko i mieć mało pieniędzy, czy ciężko za więcej?" Wyszłam bez zębów na przodzie, siekacze kompletnie wyłamane. "Ziewczyna wygląda sobie dobrze, a nie ma nawet jak się uśmiechnąć. Więc mówię, że mo-

że być ciężka praca, tylko żebym sobie zarobiła trochę pieniędzy, bo muszę z zębami zrobić porządek i ubrać się jakoś, żebym w tych łachach nie chodziła - chociaż były nowe, ale obozowe. "Załatwimy ci pracę w Promkombinacie", wiemy, że nie możesz szyć na maszynie, będziesz prasowała gotową produkcję". No i załatwiły mi pracę i hotel robotniczy. W hotelu nie mogę jeszcze mieszkać, dopiero jak zacznę pracować, dwa tygodnie mieszkam u pani Tosi. Pierwszej nocy na wolności miałam sen: otwierają się drzwi i wchodzi mój brat w tym niemieckim mundurze, tak jak poszedł do lasu, ma na piersi białego orła, na rękę opaskę biało-czerwoną z literami AK, w hełmie na głowie. Wchodzi, otworzył drzwi i widzę, że jego oczy są szczęśliwe. Jakby się cieszy, że mnie zobaczył (...). Nigdy więcej brat mi się nie przyśnił. (...) Dwa tygodnie miałam wczasy. Chodziłam z naszą polonią na wycieczki nad morze, było ciepło. Sklepy bardzo dobrze zaopatrzone (taki "gastronom"), nawet kiłbasa "krakowska" była, pewno ślad Polaków, kraby, nawet ziemniaki skądś sprowadzali.

o dwóch tygodniach rozpoczęłam pracę, poszłam do hotelu robotniczego (...) To była długa sala, po jednej i drugiej stronie rzędami stały łóżka - takie "obszcze" życie. Prym tam wodziły Rosjanki, które w 37 roku były aresztowane. Skończyły wyroki i miały chyba dożywotnio być na Kołymie. Pracowały w różnych miejscach, np. w muzeum, bo to były bardzo inteligentne kobiety. Tam właśnie słyszałam ten przecudny język rosyjski, który spotkałam w książkach u Tołstoja. Jeśli te panie chciały, żebyśmy nie wiedziały, o czym mówią, to rozmawiały ze sobą po francusku. To były damy. Jak jadły! Jak trzymały widelce, łokcie przy swoim stoliku! Jaka tam były uprzemość! A jak dla nas były uprzejme! Było widać, że to klasa ludzi, którzy w jakiś sposób uchwali się jeszcze (...). Wszystkie z wielkim szacunkiem odnosiłyśmy się do tych pań.

Po wyjściu na wolność moim obowiązkiem było zameldować się na NKWD. Dostałam "Udostawienie" z fotografiami i co miesiąc, jako

człowiek, który ma jeszcze pięć lat pozbawienia praw obywatelskich, a więc zsyłkę, musiałam się meldować. Zaraz napisałam do mamy, że jestem na wolności (...). Przychodzę na pocztę (a wysyłałam też listy do dozorczyń do Wilna). "Niekakoj eto Wólno - eto Wilnius!" - "Ty mnie nie budiete gaworit, z Wilna pochodzę!" - "Eto Wilnius, ja wam gaworiu, ptrepisat!" (...). Musiałam zmienić kopertę. Napisałam do mamy, zaczęłam otrzymywać listy i "banderole": "Panorama", "Przekrój", książki polskie (...). Wydania nie były nadzwyczajne, ale i "Ouo vadis" i "Pan Wołodyjowski" itp - to było coś. Napisałam też, żeby skierowały do Moskwy prośbę-zapotrzebowanie, żeby mi anulowali zsyłkę. Poszły do tłumacza, żeby to po rosyjsku ~~xxx~~ napisał, jakieś duże pieniądze zapłaciły, a mama bez renty, siostra pracuje i maturoję wieczorową robi - siostra pisze "dużo nas to kosztuje, bo co miesiąc wysyłamy". Co miesiąc wysyłały tę prośbę do Moskwy, Moskwa ~~xx~~ do Magadanu, tu mnie wzywał oficer NKWD polityczny i mówił "twoja matka pisze, czto ona trebujet tiebie". Więc ja do mamy, żeby za każdym razem pisała identycznie, będzie mniej kosztowało. Tak też zrobiły. Tak że ja przez cały czas na zsyłce, rok i 2 miesiące, oprócz tego, że co miesiąc musiałam przyjść, zameldować się i dostać pieczętę - byłam wzywana dodatkowo, bo ciągle przychodziły te listy z Moskwy, że moja matka stara się o mnie. Enkawudzista, który tam siedział, był bardzo niesympatyczny: "Apiat ona pisze, ta twoja matka - "No pewnie że pisze, jestem starsza córka, mama chora, potrzebuje mnie". - "Mnie włos tu prędzej wyrośnie, zaczem ty do Polski wyjedziesz!", "Postmotrim, pożywiom, uwidim." Potem przyszedł inny na jego miejsce, też ze złotymi pagonami, bardzo sympatyczny. Wzywał mnie i mówił: "Wiesz, matka twoja znowu pisze. Na razie nic nie wiadomo, ale eto nie mieszajet puskaaj ona piszjut poka niczewo nie zwiesno kagda ujedietie w Polszu". I rzeczywiście złożyło się tak szczęśliwie, że jeszcze nikt w Magadanie nie wiedział, że mamy jechać do Polski, on dostał jakieś pierwsze rozporządzenie, a ponieważ tyle było tych

moich listów, wezwał mnie do "speckomendanturą" i (tu znowu widziałam radosne oczy!): "Na koniec ty dożydas! Ujediesz w swoju Polszu." Ten enkawudzista autentycznie cieszył się, porządny człowiek. W obozach Rosjanie też byli dobrzy ludzie. Byli i dranie, ale mniej.

Poleciałam do Jaśki i Zdzychy: "Słuchajcie, wyjeżdżamy do Polski. W naszej polonii każdy już się cieszy i trzęcie - Jezus Maria, czy on dostanie zawiadomienie - bo każdy musiał imienne zawiadomienie dostać. Na drugi dzień szum ogromny - Polaki ujeżdżajut w Polszu, Polaki ujeżdżajut w Polszu! Chłopcy, którzy byli z naszych terenów z tzw Białorusi, mają stracha, bo "ty nie jesteś Polak, ty tam jesteś urodzony!". "Dziewczyny, ratujcie nas!" Co robić, nikt przecież nie będzie zawierał związku małżeńskiego na jakiś czas, bo to nic nie wiadomo... Chociaż był jeden taki wypadek ("przewiozę cię jako męża"), było z tego trochę kłopotów, ale się potem rozplatali. Robiliśmy co można było, żeby jak najwięcej tych naszych ludzi pojechało. Niektórzy po powrocie do Polski nie mieli gdzie głowy przytulić, ja np. przywiozłam do Gdańska jednego pana, który był u nas jeden dzień chyba, potem znalazł rodzinę.

Jak zaczęłam pracować i zarabiać trochę, to pierwsze kroki skierowałam do przychodni dentystycznej. Dentystka mnie zobaczyła: "Gospodi, Gospodi - gdzie wy byli? Takie korzenia, zubów niet! Biedniuszka!" Zaczęła mi porządek z zębami robić, zrobiła przymiarzkę mostka. "Ale muszę was zmartwić, nie mamy materiału, dostaniecie żelazne zęby." - "Boże kochany! (...) nawet uśmiechnąć się!" Po dwóch dniach przychodzę (...) zakłada mi ten mostek, podaje lusterko (...), Boże, dwa białe zęby na przodzie! "Jak wyście tak zaczęli biadolić, nasi technicy wychylili się, też kiedyś w obozie siedzieli i mówią niet w dosku rozbijomsie etoj dieuszkie dwa zuby białe sdielajem!" (...) Zarabiałam wtedy 1000 rubli, to był spory grosz. Chciałam tej kobiecie dać 800 rubli. Schowała ręce do tyłu: "Broń Boże!" - "Nikt nie będzie wiedział". - "Ja mam dwóch synów

moi synowie się uczą. Jakby to gdzieś wyszło, stracę pracę. W żadnym wypadku!" I nie wzięła tych pieniędzy. Kupować co innego, np. żywności dla niej, nie było sensu. Choć Magadan był świetnie zaopatrzone, oczywiście nie dla nas, ale mieszkali tam różni naczelnicy z pryisków złotych itd - dla nich było wszystko. Ja przez pierwsze 3 miesiące jadłam tylko białe pieczywo, potem dopiero kupiłam czarny chleb (...). Były bardzo dobre wędliny, kawa (kupiłyśmy młynki), dobre wina. Na targu można było wszystko kupić, np kraby.

Coraz więcej naszych ludzi wie, że wyjeżdżają. Każdy coś kupuje, jeśli ma pieniądze. Lecę do jubilera w ostatnim momencie. Z zegarek już dla siebie miałam, nie złoty, bo do złota mieliśmy specyficzny stosunek, nam złoto nie imponowało, nad złotem umierali ludzie na Kołymie. Siostrze kupiłam złoty zegarek za 1200 rubli, mamie budzik za 500 rubli, kupiłam aparat fotograficzny "Zorkę" i sprzęt do wywoływania zdjęć (...). Janeczka Stundis miała brata w Wilnie, posłałyśmy mu pieniądze, kupił nam w Wilnie bardzo ładne kozaczki, materiał na płaszcze, szyfonowe chusteczki śliczne (...) i różne drobiazgi, bo chciałyśmy się ubrać. Jeden nasz rodak w Magadanie uszył nam te płaszcze, przyjechałam elegancka do Polski.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy wsiedliśmy na statek. W każdym razie jest to jesień 1955, na morzu sztormy (na granicy polskiej stanęłam trzeciego grudnia 1955) w Żurawicy Górnej). (...) Ładują nas na statek pasażersko-~~zabawowy~~ towarowy "Feliks Dzierżyński". Jedzie z nami para młoda, tam się zdążyli pożenić, ta Czesława w ciąży. Na tym statku rodzi im się syn. (...) Kapitan przyszedł z życzeniami, jakieś podarki przyniósł (...). Była uroczystość nie z tej ziemi: urodził się Polak z polskiej pary, który jedzie do Polski. (...) Na morzu sztorm, wszyscy byliśmy chorzy na morską chorobę, leżeliśmy w kajutach. Wyżywienie bardzo dobre, dbali o nas (...). Byliśmy szczęśliwi, każdemu było wesoło. Trzy doby jechaliśmy Morzem Ochockim. Nie pamiętam, gdzie nas ładowali do pociągu. Wagonów było bardzo dużo, ale w podróży jeszcze doczepiano dalsze z

repatriantami do Polski. Jechaliśmy 6 tygodni. Wagony osobowe, "spalne" miejsca, pościel, wyżywienie bardzo dobre. Suchy pajok. Przyjeżdżaliśmy na jakiś dworzec, a tam już przygotowany obiad dla nas. Pamiętam taki przyjazd: jest śnieg z deszczem, psę trudno wypędzić. W poczekalni ogromne stoły białymi prześcieradkami ponakrywane, zupa, drugie danie, ciasto. Ale była to przecież poczekalnia. I tam przytuliła się jakaś biedna kobiecina, zielona, blada, jedną dziecinę trzyma zawiązaną w chustce, drugie małe, takie co już chodzi, za rękę trzyma. "Dawaj, dawaj, Polaków nużno pokarmić, wsie dalej ot tuda!" My mówimy, żeby zostawił tę kobietę z dziećmi. "Nie lzia, nie lzia, wsie won!" - i wypędził tę kobietę na śnieg i deszcz. Tyle tam wart człowiek. Było nam przykro (...).

Jedziemy. Jazda jest długa. Przyjeżdżamy do Chabarowska, mówią, że nie wiadomo, jak tu się długo zatrzymamy. W każdym razie umieszczają nas w różnych hotelach, blisko siebie. Wyżywienie wspańskie, jesteśmy wolni ludzie, chodzimy po Chabarowsku. Chabarowsk stare miasto, pięknie zbudowana starówka (...). Byliśmy tam tydzień.

Jeszcze przed wyjazdem z Magadanu jestem u Jaśki. Gospodyni mówi "przyszli do was rodacy". Wchodzi pewien wysoki mężczyzna, którego wcześniej widziałam i wzięłam za Łotysza albo Estończyka. Okazało się, że to nasi chłopcy - przyjechali na jakąś olimpiadę do Magadanu i szukają kolek. Porozmawialiśmy (...). nasi chłopcy bardzo nieobcy (...), widelce im niepotrzebne... (...) Za jakieś półtora tygodnia znowu są. "Co się stało, w jaki sposób tu trafiliście?" - "Werbowszczyki werbowali do Magadanu do pracy, zgłosiliśmy się, bo nam się tutaj podoba". Zaczęliśmy się widywać grupka. "Tiedwś jakaś mała uroczystość była u Jaśki, mamy iść na spacer, panowie podają płaszcze paniom, a mój „Estończyk” „Służę wściekle” - do mnie. "Wściekle nie trzeba, tylko uprzejmie", ja na to. To był mój mąż w przyszłości. W podróży nawiązała się sympatia między nami (...).

Jak się jedzie do ojczyzny to jest...nie do opisania! Wyjecha-

liśmy z Chabarowska, jedziemy brzegiem Bajkału. Popołudnie, dzień pochmurny, woda szara. Zrobili nam maleńki wypoczynek, żebyśmy nogi rozprostowali. Wypuścili nas nad ten Bajkał, tam z moim przyszłym mężem walca tańczyłam. (...)

Dojeżdżamy do Uralu, Ural robi wrażenie ogromne (w tamtą stronę z bydlęcych wagonów nic się nie widziało). Pociąg bardzo długi, zestaw ogromny (...) jak patrzyłam na zakątach, to pociąg wydawał się z pudełek od zapalek. Na skałach z bliska było widać ogromne litery - nazwiska polskie z 1830 i 1863 roku. Skaźańcy tam pracowali i swoje nazwiska wryli. Dużo tego, litery były ogromne, skoro jadąc mogliśmy je czytać. Nie pamiętam, na jakiej to było trasie. (...) Konwojowali nas żołnierze w mundurach. Koło Moskwy naczelnik konwoja przychodzi do nas w cywilu i "szlapię" (kapeluszu): "Jedziecie do Polski - po czemu wy swojej flagi nie wywiesicie na pojazd?" Nam dużo nie potrzeba było mówić. Wskoczyli chłopcy do Moskwy (musiało być niedaleko), pieniądze były, kupili płótna białego i czerwonego. My, dziewczyny, porobiłyśmy chorągiewki na okna i ogromną chorągiew na lokomotywę. Niektórzy polecili jeszcze Moskwę obejrzeć ja nie chodziłam. (...) W ten sposób dojechaliśmy do granicy, do Żurawicy Górnej (...). Wiele rzeczy z podróży uleciało z pamięci. Mietek Paszyński więcej pamięta.

W Żurawicy Górnej przyjmuje nas nasze wojsko. My z dobrym sercem, a tu chodzą koło nas w polskich mundurach, prawie cały dzień nikt do nas nie podchodzi. Kiedy już dostali zezwolenie, szliśmy do nich do specjalnych stolików (dużo tych stolików postawiono) i spisywali nas: imię, nazwisko, gdzie byliśmy, kiedy, dokąd jedziemy. I najważniejsze: pytali, kto jeszcze pozostał z Polaków. Przy każdym stoliku stał jakiś Rosjanin i słuchał, co mówimy. Podawaliśmy nazwiska, bo dużo ludzi naszych zostało w obozach i na Kozymie. Ten bardzo się sprzeciwił: "Teraz jesteście już u siebie, to możecie mówić brednie - wszyscy Polacy już przyjechali". - "Jakie brednie!

my wam podamy imiona, nazwiska i nawet imiona ojców tych ludzi!" I nasi spisywali to. Byliśmy więc na tej "przesyłce", wszystkie sprawy zostały załatwione, dostaliśmy karty repatriacyjne i po 1000 złotych zapomogi. Potem wyszperał Mietek Paczyński, że były tam dla nas ubrania i różne rzeczy, których myśmy już nie dostali. To już tam zginęło wśród tych, którzy nas przyjmowali. (...) No i bilet dostałam do Gdańska. I to jest cała ta eskapada.

Przyjechałam do Wrzeszcza późnym wieczorem. Czekała na mnie trzy dni (tyle trwały te formalności), a wysłałam telegram z granicy, że jestem w Polsce od 3 grudnia. Przyjechała do Polski, zginęła! (...) Ja we Wrzeszczu z walizami kupionymi w Magadanie wzięłam taksówkę. Trasa, jak się potem okazało, była króciutka, wziął ode mnie 20 złotych, a powinien wziąć bodajże 2.50. Nie wiedział, skąd jadę.

Spotkanie z mamą i siostrą. Moja sympatia pojechała do Szczawna, tam miał rodziców. Po jakimś czasie przyjechał do nas, postanowiliśmy sobie życie urządzić (...) Powinnam była podjąć pracę w ciągu trzech miesięcy, żeby mieć ciągłość. Wzięliśmy ślub, przyjęcie bardzo skromne, rozpoczęła się batalia o mieszkanie - z początku mieszkaliśmy u jego rodziców.

Trudności z władzami w związku z pobytem w łagrze nie miałam. Nigdy. Raz źle mnie potraktowano, kiedy chciałam starać się o jakąś grupę inwalidzką, trafiłam w Wałbrzychu do jakiegoś urzędu. Wałbrzych był wtedy strasznie zażydzony. Oczywiście nie ukrywałam tego że byłam w obozie itd. Urzędnik, Żyd, mówi do mnie: "Proszę pani, jeśli pani była w obozie, to są ludzie, ~~którzy~~ które były rehabilitowane! Pewnie pani tam nabroiła niebagatelnie, skoro pani odsiedziała te 10 lat. Nie ma pani rehabilitacji!" (uwaga, opowiadająca używa szmoncesowego akcentu!) To był incydent, który mnie bardzo zdenerwował, ale potem Żydzi się wynieśli do Palestyny (Golda Meir też była z Wałbrzycha). Ale innych trudności nie miałam. Obóz mi

się nie śnił ani razu. Może coś się kiedyś przyśniło, ale nie było to chyba takie ważne, żebym aż zapamiętała. Żadnych koszmarów, żadnych snów obsesyjnych. Mówiłam, że jestem szczęściara!

29-30 kwiecień 1990, Wrocław. Nagrywał Wiesław Krasnodębski.